WSTĘP

Dzieje i dorobek dziedzictwa kulturowego naszego regionu poznajemy dzięki licznym i różnorodnym źródłom: pisanym, archeologicznym, zabytkom oraz tradycji ustnej. Z niej wzięły początek najstarsze formy literatury historycznej – legendy i podania.

Narodziły się one w pradawnych i mrocznych dziejach historii ludzkości, w czasach, gdy człowiek nie potrafił jeszcze zapisać i utrwalić swych słów i opowieści. W formie przekazu ustnego powstały zapewne już wówczas, gdy nasi prehistoryczni przodkowie nasyceni wieczorną strawą, gromadnie gawędzili przy blasku płonącego ogniska.

W kolejnych stuleciach ten specyficzny nurt literacki i historyczny nabrał własnych cech, a w rozmaitych zakątkach świata powstały różnorodne legendy, podania i baśnie poszczególnych ludów. Większość z nich była już wówczas zapisywana w swoistych alfabetach i językach.

Od czasów średniowiecza kronikarze, a później pisarze, bardzo często uwieczniali swym piórem coraz szerszą tematycznie i gatunkowo tę szczególnie nasyconą ludowością dziedzinę literatury historycznej. Nie inaczej było i na ziemiach polskich. Już w wiekach średnich rodzimi kronikarze w swoje zapiski o charakterze historycznym wplatali wiele wątków bajkowych, podań i legend. Tak było i w kolejnych stuleciach.

Wybitny znawca folkloru Julian Krzyżanowski określił podanie jako relację o zdarzeniu rzeczywistym, ale opierającym się na wierzeniach. Z kolei legenda (łac. legenda – to, co powinno być przeczytane) jest opowiadaniem fantastycznym, zwłaszcza z życia świętych i bohaterów lub o postaciach i wydarzeniach historycznych, przesyconym elementami cudowności i niezwykłości, opartym zwykle na podaniach ludowych.

Ujmując prościej, legenda i podanie to rodzaj opowieści ludowej o postaciach bądź wydarzeniach historycznych lub częściowo wymyślonych, nasyconej elementami fantazji, niezwykłości i cudowności, utrwalonej w pamięci mieszkańców regionu. Zachowały się one do naszych czasów w formie przekazów ustnych bądź zapisanych. Są jednocześnie o wiele bliższe historii niż bajka ludowa, gdyż w części mniejszej lub większej zawierają się w prawdziwych i realnych dziejach oraz znacznie bliżej związane są z konkretnymi obrzędami, zwyczajami i tradycją.

Każdy z nas pamięta, że pierwszy kontakt z rodzimą historią i literaturą miał właśnie dzięki legendom i podaniom, które opowiadali nam rodzice lub dziadkowie. To z pewnością najbardziej właściwa forma zachęty do bliższego poznania dziejów i dziedzictwa kulturowego swego regionu.

W niniejszym wydawnictwie zebrano przeszło trzydzieści legend związanych z Ziemią Jasielską. Większość z nich została opracowana na podstawie dostępnych publikacji oraz relacji ustnych. Są to dość powszechnie znane tradycyjne legendy regionu. Niektóre z nich zawierają w swej treści dwa lub więcej wątków różnych ich wersji.

Opracowali je miejscowi regionaliści zajmujący się tym zagadnieniem od wielu lat. Jedna z legend, chyba najpopularniejsza na tym terenie, pt. „Diabli kamień", jest przedstawiona w oryginalnej gwarze ludowej, co zdaniem Wydawcy dodaje tej publikacji dodatkowej wartości i wzbogaca ją o cenne walory języka regionu.

Z kolei autorami opracowań kilku legend zamieszczonych w dalszej części wydawnictwa są najmłodsi regionaliści, uczniowie jasielskich szkół podstawowych, gimnazjów i szkół ponadgimnazjalnych. Ich nowatorskie, autorskie ujęcie podań o swym mieście i regionie jest pokłosiem IX Turnieju Wiedzy o Jaśle z 2000 roku, podczas którego każdy z uczestniczących w nim zespołów musiał przygotować własną współczesną legendę o Jaśle i okolicy, mającą oparcie w źródłach historycznych. Najciekawsze z nich zostały opublikowane w czasopismach „Obiektyw Jasielski" i „Region Jasielski", a teraz znalazły się w tym wydawnictwie.

Prezentowane legendy związane są z różnymi miejscowościami z terenu Ziemi Jasielskiej. Stanowią swoisty przegląd podań ludowych znanych, mniej znanych, całkowicie zapomnianych i najnowszych.

Aby uatrakcyjnić i ułatwić odbiór zapisanych treści Wydawca zamieścił szereg ilustracji i słowniczek pojęć. Pomogą one dokładniej zagłębić się w zebrane opowieści z dawnych i bardzo dawnych czasów, przekazywanych przez naszych przodków z pokolenia na pokolenie.

Stowarzyszenie Miłośników Jasła i Regionu Jasielskiego oddaje przeto w ręce Szanownych Czytelników w różnym wieku kolejną publikację, w której w sposób szczególny wątki świata realnego zespoliły się z wątkami legendarnymi. Wszak legenda jest starszą siostrą historii...

Wiesław Hap

Zebrał i opracował:
Wiesław Hap

O Czarnym Rycerzu z Potakówki

Było to bardzo dawno, dawno temu. Na wyniosłym wzgórzu nieopodal dzisiejszej wsi Potakówka stał okazały warowny zamek. Otoczony był gęstą puszczą, w której mieszkał zwierz srogi i wielki. Z okienek wieży rozpościerał się wspaniały widok na okolicę oraz cały pas Beskidu Niskiego.

W warowni mieszkał jego groźny właściciel, którego zwano Czarnym Rycerzem. Skąd się wziął ten przydomek zdania były podzielone. Niektórzy sądzili, że pochodzi od kruczoczarnej brody i długich włosów rycerza, inni, że od czarnej zbroi, której używał w walce. Jeszcze inni twierdzili, że nazywano go tak od jego „czarnego charakteru", a byli też i tacy, którzy mówili, że swą duszę zapisał diabłom, które ponoć często go nawiedzały.

Czarny Rycerz nie znał litości. Dla swoich poddanych był okrutny, ściągał z nich ogromne daniny i zmuszał do ciężkiej pracy. Bardzo często wyruszał też ze swą drużyną zbójcerzy na łupieskie wyprawy, z których zwoził do warowni wiele skarbów. Swym bogactwem pysznił się wśród okolicznych rycerzy. Te skarby były jego „oczkiem w głowie", więc nic dziwnego, że w dzień i w nocy wejścia do podziemi zamkowych strzegło kilku strażników.

Rycerz zyskał też zasłużone miano mordercy. Nie liczył się z nikim i z niczym. Nie znał żadnej świętości. Zabijał każdego, kto miał inne zdanie niż on, każdego kto nie uznawał jego władzy na tym terenie. W przypływie gniewu, najczęściej podczas nocnych uczt, gdy wino lało się strumieniami, uśmiercał

nawet swych najbardziej oddanych i wiernych kompanów. Pomstowali na niego wszyscy, ale mało kto odważył mu się sprzeciwić.

Kilkakrotnie usiłowano Czarnego Rycerza zgładzić, ale za każdym razem kończyło się to niepowodzeniem. Śmiałkowie, którzy pragnęli pozbyć się swego pana zapłacili za ten czyn okrutną śmiercią w mękach. Wydawało się coraz powszechniej, że faktycznie śmierć się tego człowieka nie ima.

Aż nadszedł dzień, w którym wreszcie przyszła pora i na niego. Czarny Rycerz zdecydował się po raz kolejny wyprawić na żmigrodzki trakt, by napaść na karawanę kupców, którzy zmierzali w te strony z Węgier. Zbójcerze wyruszyli tedy w drogę. Nikt nie wie do końca jaki był przebieg tej złodziejskiej wyprawy. Faktem jest, że podczas niej, ten wydawać by się mogło, nieśmiertelny rycerz, zginął z ręki swych ludzi.

Po zabójstwie okrutnego wodza rycerze rabusie niezwłocznie powrócili do swoich siedzib skąd zabrali wszystkie skarby. O zmierzchu, gdy dzień gasnął, a różowa kula słońca staczała się po niebie ku zachodowi, odjechali w nieznane.

Odtąd nikt nie odważył się zbliżyć do zamku, który z roku na rok popadał w coraz większą ruinę. W końcu zapadł się pod ziemię, a na tym miejscu wyrosły drzewa i krzewy. Teren ten był przez wiele wieków omijany przez miejscową ludność. Czasami i dziś, przy pełni księżyca duch Czarnego Rycerza błąka się na koniu po okolicy i szuka swej dawnej siedziby.

O tajemniczym „Grodzisku” w Brzezówce

Rudził się dzień. Świt zaróżowił szarzejące z ciemności niebo, gdy na wzgórzu pojawiły się sylwetki ludzi na koniach. Był to oddział wojowników z plemienia Wiślan, którzy poszukiwali bezpiecznego i dogodnego miejsca do założenia grodu. Pragnęli też znaleźć dobrą i urodzajną ziemię, a następnie sprowadzić swe żony i dzieci.

Od kilkunastu godzin byli w drodze. Zmęczeni postanowili odpocząć. Kiedy promienie słońca rozjaśniały w pełni niebo, dowodzący oddziałem Dowbor z zainteresowaniem rozejrzał się dokoła. Po dłuższej chwili stwierdził, że jest to miejsce jakiego szukali. Lasy pełne zwierza, żyzna gleba, brak innych siedzib ludzkich.

- *Tak, tutaj zostaniemy* – rzekł Dowbor.
- *Tu zbudujemy własne grodzisko, które nazwiemy od licznych tu drzew bukowych „Buczyną”.*

Po parunastu miesiącach powstało solidne grodzisko, w którym panował ożywiony ruch pracowitych mieszkańców. Kiedy zmarł jego założyciel, mądry i prawy Dowbor, władzę przejął jego syn Dobigniew. Z czasem okazał się równie dobrym przywódcą plemienia jak ojciec. Miał jednak jedną wadę, która z roku na rok stawała się jego zmorą. Chciał zdobyć jak najwięcej bogactw.

Któregoś dnia, w znojne i gorące południe, do grodu przybyły trzy wozy kupieckie. Jak się okazało należące do kupców ruskich, którzy przewozili złoto do Krakowa i zabłądzili po drodze. Dobigniew, jak nakazywała tradycja ugościł ich i zapewnił nocleg. Kiedy znużeni drogą kupcy zasnęli, do jego głowy przyszedł pomysł, żeby zamordować przybyszów i przejąć

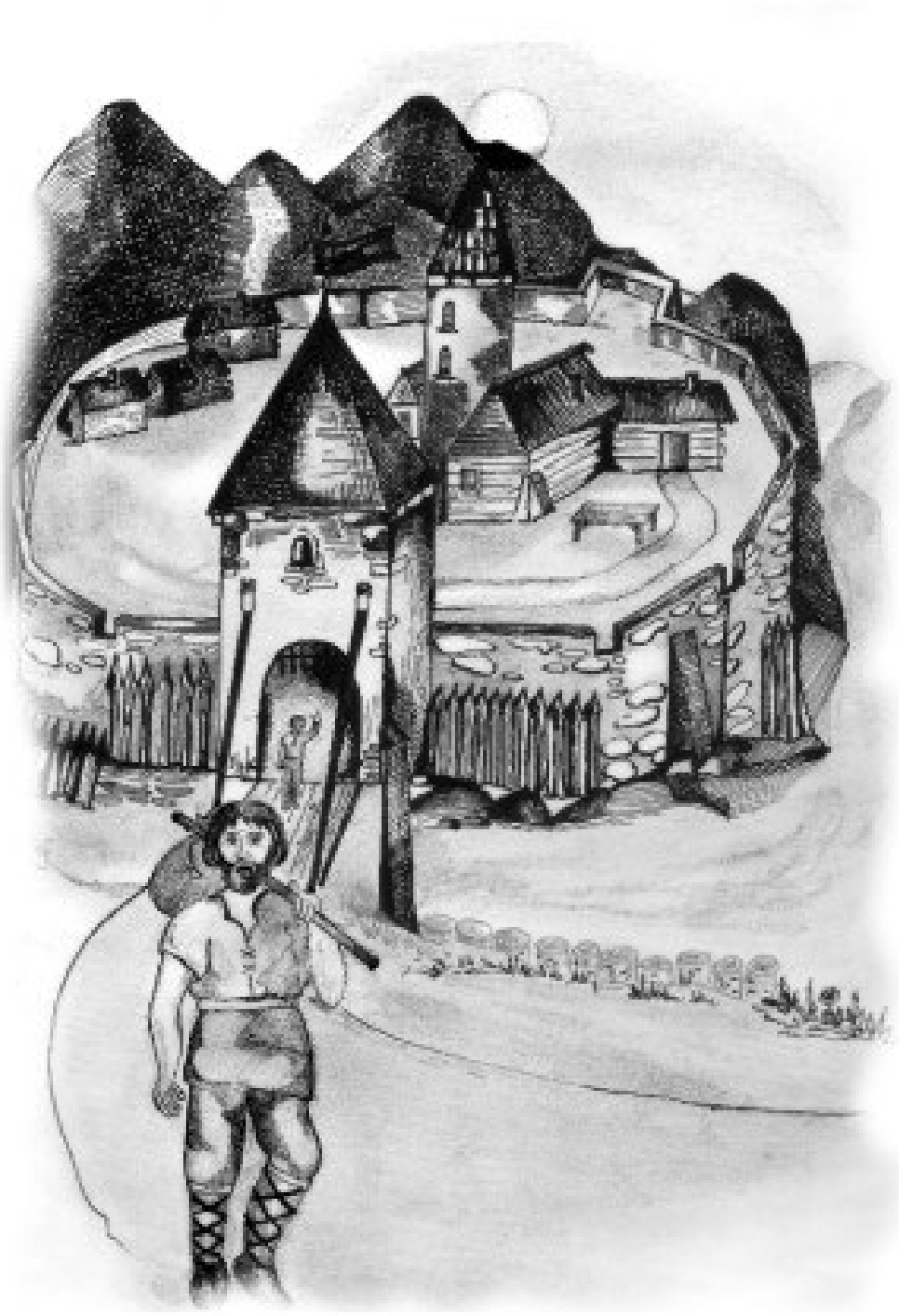

po nich sztaby cennego kruszcu. Jak postanowił, tak zrobił. Noc była ciepła, cicha, czasem tylko słychać było pohukiwanie sowy. Przy świetle księżyca ukrył złoto i zakopał ciała kupców, a konie z pustymi wozami wypuścił na leśny trakt.

Rankiem okazało się, że znalazł się jednak świadek tej zbrodni, który poinformował o zaistniałym fakcie radę starszych. Jej sąd udowodnił winę wodza. Doceniając jego dotychczasowe zasługi dla mieszkańców grodziska nie wymierzono mu za ten haniebny czyn kary śmierci, lecz wydalono go z osady, pozwalając zabrać ze sobą jedynie konia, broń i nieco żywności.

Mieszkańcy grodu wybrali swego nowego przywódcę, który zadecydował, że bogactwa, które zostały zdobyte kosztem życia ich właścicieli niegodnym jest wykorzystać dla dobra Buczyny. Zabrał więc złote sztaby i w towarzystwie najbardziej zaufanego woja zakopał na terenie grodziska.

- *Nikt i nigdy tego skarbu nie zdobędzie* – rzekł na koniec.

Minęły wieki. Do dziś na terenie wsi Brzezówka, w przysiółku „Buczyna", znajduje się strome wzgórze z lasem bukowym, na którym istnieją pozostałości po ruinach jakiejś budowli. Mówi się, że są tam zakopane skarby.

Przez minione lata ponoć nie brakowało śmiałków, którzy pragnęli je wykopać. Lecz ciągle dzieła się rzecz dziwna. Co w ciągu jednego dnia odkopano, następnego było już zasypane. Uważano, że w tym miejscu muszą działać jakieś siły nadprzyrodzone, może działała jakaś klątwa?

Nic dziwnego, że niektórzy mieszkańcy do dziś starają się na wszelki wypadek miejsce to omijać.

Dwie mogiły w Święcanach

Rzecz miała miejsce hen przed laty w Święcanach. Pewnego lipcowego dnia sprzedawszy na jarmarku krowę, wracał do domu jeden z mieszkańców tej wsi wraz z synem Kubą. A długa to była droga. Chłopiec miał pod swą zgrzebną koszuliną sakiewkę z pieniędzmi. Zadowoleni z udanej transakcji głośno rozmawiali ze sobą. Kiedy przechodzili drogą obok lasu, zostali nagle napadnięci przez zbójców. Była to banda grasująca po okolicy, którą dowodził okrutny człowiek, nie znający uczucia litości. Nikt, kto wpadł w jego ręce nie uchodził z życiem.

Tak niestety było i tym razem. Zbójcy rzucili się na starszego z napadniętych, który dzielnie zaczął się bronić. Niestety nie miał szans. Zginął. Korzystając z chwilowego zamieszania przerażony chłopiec uciekł do lasu. Nadeszła noc i zbliżała się burza. Błyskawice cięły niebo, po którym przetaczały się grzmoty. Schowany w gąszczu leśnym zapłakany Kuba rozpoczął poszukiwanie drogi do domu, do matki i rodzeństwa. Dotarłszy do pierwszej napotkanej chaty opowiedział jakie spotkało go nieszczęście. Gospodyni poleciła mu położyć się do snu za piecem wraz z jej synami.

Chłopcu wydawało się, że jest już bezpieczny, że spokojnie prześpi noc, a rano powróci do rodziny. Był jednak w błędzie. Biedak nie wiedział, że trafił najgorzej jak mógł, do domu samego herszta bandy, która zabiła mu ojca, a kobieta, która go przyjęła pod dach była jego żoną.

Kiedy pijany zbój wrócił do chaty, uzyskał od niej informację, kto się u nich schronił. Kuba na szczęście wszystko to słyszał i jeszcze bardziej wbił się w kąt, za plecy trzech synów

zbója i zbójczychy. Strach zmroził chłopca, skulił się w sobie i czekał co będzie dalej.

W izbie było ciemno, tylko na ławie tliła się niewielka świeca. Mocno podchmielony zbój bez zastanowienia wyciągnął zza pieca śpiącego chłopca i wyniósł go na podwórze. Tam skręcił mu kark.

Następnego dnia kiedy nadszedł ranek okazało się, że nocą przez pomyłkę herszt bandy zabił własnego syna, a międzyczasie Kubie udało się po ciemku wymknąć z miejsca kolejnej zbrodni. Chłopiec szczęśliwie dotarł do domu.

Nie były to oczywiście jedyne zbrodnie herszta i jego bandy. Dla łupu zabili wielu. Najczęściej ich ofiarami byli kupcy oraz powracający z jarmarku. Odważyli się także napaść na właścicieli dworu w Święcanach, których ograbili, a następnie wymordowali.

Szczęście dopisywało bandytom długo, ale do czasu. Skończyli równie strasznie jak dotychczasowe ich ofiary. Któregoś dnia przez las na dwu wozach przejeżdżało kilku krzepkich kowali. Wiedzieli o tym, że w okolicy grasują zbójcy, toteż byli odpowiednio uzbrojeni na wypadek ewentualnego napadu. Pod ręką mieli młoty i łomy żelazne, łańcuchy oraz potężne kołki dębowe.

Jechali czujnie przez las i nagle zostali zaatakowani przez wyczekującą na podróżnych bandę. Tym razem zbójcy natrafili na silniejszych od siebie. Wszyscy padli z ich mocarnych rąk. Kowale pochowali ich nieopodal miejsca walki w dwóch mogiłach przy leśnej drodze. Te dwa zbójeckie kopce można dostrzec i obecnie pod święcańskim lasem.

Dąb z mieczami w Bieździedzy

Obok kościoła w Bieździedzy rośnie stary, bo liczący około sześciu wieków dąb. W jego koronę wbite są dwa miecze, jeden wyżej, drugi niżej. Skąd się wzięły? Jest kilka wersji legend, które tłumaczą ich pochodzenie.

Jedna z nich mówi, że miecze te pochodzą z czasów, kiedy o miejscową piękną pannę rywalizowali dwaj rycerze. Nie chcąc przelewać krwi zgodzili się na inny rodzaj walki o białogłowę. Za namową miejscowego księdza zdecydowali, że ten wygra i pojmie za żonę, który głębiej wbije swój miecz. Tak też uczynili.

Jest też inne wytłumaczenie pochodzenia owych mieczy. Niektórzy mówią, że po jednej z bitew wodzowie walczących ze sobą stron wbili je na znak pokoju. Wreszcie pojawia się i ta opowieść.

Działo się to za panowania jednego z największych władców polskich, króla Jana III Sobieskiego. Były to czasy bardzo niespokojne, lata licznych wojen. W 1683 r. Po udanej odsieczy wiedeńskiej i zadaniu klęski potędze tureckiej, spod stolicy cesarstwa austriackiego powracały do ojczyzny oddziały polskie. Wszędzie były entuzjastycznie witane, bo radość wielka zapanowała na wieść o tym triumfie.

Jeden z powracających oddziałów zatrzymał się w podjasielskiej Bieździedzy. Strudzeni piechurzy i jezdni postanowili odpocząć po kolejnym dniu marszu. Część z nich położyła się w cieniu rozłożystego dębu, część poiła zmęczone konie, część przygotowywała posiłek.

Dowódca oddziału wraz z kilkoma starszymi oficerami został zaproszony na gościnę przez miejscowego proboszcza.

Chyżo zasiedli przed misą z ciepłą strawą. Podczas wieczerzy opowiedzieli kapłanowi o tryumfie oręża polskiego pod Wiedniem oraz o tym, że ich zdaniem stało się to za sprawą wstawiennictwa Panienki Świętej, która czuwała nad nimi. Proboszcz bardzo wzruszył się tą opowieścią, nic przeto dziwnego, że z radością zgodził się na odprawienie mszy świętej dziękczynnej jako podziękowanie Bogu i Maryi za wspaniałe zwycięstwo i obronę chrześcijaństwa w Europie.

Nazajutrz o świcie w kościele w Bieździedzy odbyło się uroczyste nabożeństwo. Środkiem świątyni stał w zwartym szyku uroczyście ubrany oddział wojska. Po jego bokach licznie zebrali się mieszkańcy wioski. Po mszy wszyscy udali się przed kościół i tam na pamiątkę pobytu i wspaniałego zwycięstwa wiedeńskiego dowódca oddziału wbił dwa miecze. Niebawem zbrojni wyruszyli w dalszą drogę w kierunku Warszawy, a mieszkańcy wsi długo wspominali ich pobyt. A wbite w pień dębu dwa miecze do dziś są świadectwem dawnej potęgi Polski i wiary jej najdzielniejszych synów.

O powstaniu kościoła w Żurowej

W XIII wieku Ziemia Jasielska dwukrotnie była pustoszona przez Tatarów. Z tamtych czasów pochodzi i ta legenda.

Tatarzy plądrowali dużą część południowej Polski. Siali śmierć, niszczyli dobytek, rabowali, zostawiali za sobą spalone miasta i wioski. Licznych mieszkańców tych ziem zabierali w hańbiący jasyr.

Pojawienie się skośnookich wojowników na ich rączych koniach powodowało także popłoch i przerażenie wśród mieszkańców naszego regionu.

Któregoś dnia o zachodzie słońca, jeden ze zdrożonych oddziałów najeźdźcy zatrzymał się na odpoczynek w lesie koło Żurowej. Przy głośnym pokrzykiwaniu ich wodza w mgnieniu oka stanęło kilkanaście niewielkich namiotów. Wkrótce też ukończono prace związane z rozbiciem obozowiska.

Po spożyciu posiłku Tatarzy zasiedli przy ognisku i zaczęli snuć plany kolejnych ataków na okoliczne tereny. Skuszeni szybkimi zwycięstwami i licznymi łupami nie chcieli zwlekać. Postanowili uderzyć na sąsiednie miejscowości już o świcie następnego dnia. Byli bardzo pewni siebie. Z pogardą wyrażali się o Polakach i ich chrześcijańskiej wierze.

I nagle stała się rzecz niezwykła. Wielka jasność ogarnęła tatarskie obozowisko, a przed zerwanymi w popłochu na równe nogi oniemiałymi wojownikami stanęła niewysoka niewiasta z uniesionym w ręku krzyżem. Była to święta Małgorzata, która poleciła im opuścić tę ziemię i nakazała nie nękać jej bogobojnych mieszkańców.

Przerażeni tym wydarzeniem Tatarzy natychmiast w nieładzie wsiedli na swe konie i nie zabierając łupów ani nie zwijając

namiotów uciekli. Świadkiem tego objawienia był jeden z mieszkańców Żurowej, który schronił się przed najeźdźcami w lesie. Widząc tę niezwykłą scenę pobladł i stanął jak wryty. Kiedy doszedł do siebie, przetarł oczy, przeżegnał się i pobiegł do wioski. Natychmiast opowiedział o tym, co zobaczył innym mieszkańcom.

Niebawem na pamiątkę tego cudownego ocalenia Żurowej przed nawałą tatarską, okoliczna ludność wybudowała w owym miejscu najpierw mały, a potem większy kościół.

Jednak pewnego dnia, kiedy mieszkańcy wsi siedzieli przy wieczerzy, rozszalała się wielka burza i całkowicie go zburzyła. Wierni podjęli więc decyzję o odbudowie świątyni, ale trwały spory o miejsce jego wzniesienia. Mniejszość pragnąca mieć kościół na miejscu starego i uświęconego cudownym objawieniem, nocą przewiozła drzewo na ten plac i wkrótce za zgodą dotychczasowych oponentów stanął nowy gmach, w którym mogli nadal modlić się i chwalić Boga.

O początkach nafciarstwa w Harklowej

Dawno temu wieś Harklowa należała do nie znającego miłosierdzia szlachcica. Był okrutny wobec swych poddanych, gnębił ich i bezlitośnie ściągał daniny. Zmuszał ich do morderczej pracy i morzył głodem. Największą radość sprawiał mu dźwięk monet w sakiewce.

Kiedy na przednówku wielu ludzi nie miało już co do garnka włożyć, szli pokornie prosić swego dziedzica o parę garści mąki lub o kilka kromek razowego chleba. Ale ich pan miał nieczułe serce, dbał tylko o siebie. Choć deklarował się jako głęboko wierzący katolik, obcy był mu los swych poddanych.

Któregoś dnia wieś obiegła informacja, że ich samolubny pan się żeni. Ludzie mieli nadzieję, że może żona zmieni go na lepsze. Już wkrótce okazało się, że owszem, zmieniła go, tyle że na gorsze. Jej chciwość nie znała granic, toteż niedola pracujących nań ludzi jeszcze bardziej wzrosła.

W tym czasie na skraju wsi, w ubogiej chacie mieszkał schorowany wdowiec z czworgiem dzieci. Chłopina był biedny jak mysz kościelna. W komorze już dawno skończyły mu się skromne zapasy żywności, a dziedzic od przeszło roku nie zapłacił mu ani grosza za ciężką pracę. Biedak postanowił więc grzecznie upomnieć się o to u niego lub prosić o jakąkolwiek inną pomoc dla swoich dzieci. Pełen lęku udał się przeto do dziedzica kornie prosząc o wypłatę uczciwie i ciężko zarobionych pieniędzy.

Jego pan jednak nie dość, że nie dał należnej mu zapłaty, to poszczuł go psami i kazał obić swym sługom. Połamano mu obydwie nogi. Przeżył wraz ze swymi dziećmi jedynie dzięki

życzliwemu wsparciu sąsiadów, takich samych biedaków jak on, którzy dzielili się z nim i jego rodziną ostatnią kromką chleba.

Kiedy chłop doszedł do pełni sił, stanął na czele zbuntowanych, dotychczas tak niemiłosiernie gnębionych mieszkańców wioski. Ta nieprzygotowana próba buntu zdesperowanych ludzi skończyła się ich klęską. Zostali pobici przez służbę dworską dziedzica, a później trafili do aresztu.

Dziedzic specjalną karę przygotował dla przywódcy buntu. Srogo ukarał go nakazując mu kopać studnię w skale na wzgórzu Harków. Pragnął bowiem uzyskać krystalicznie czystą wodę z głębinowego źródła. Nieszczęśnik niczym mityczny Syzyf kopała i kopał. Rok, drugi, trzeci. Bezduszny szlachcic z szyderczym uśmiechem obserwował ciężką harówkę swego poddanego.

Pewnego dnia, po kolejnym uderzeniu kilofa biednego chłopa, z dna studni wytrysnęła ciemna, tłusta ciecz. Nie była to woda. Nazwano ją olejem skalnym, który okoliczni chłopi później wykorzystywali jako mazidło do kół i zawiasów.

Dziedzic był zły, że mimo długotrwałego kopania źródła krystalicznej wody, nie udało się jej uzyskać, kazał chłopu przerwać pracę i pozwolił mu odejść. Ten zachłanny człowiek nie wiedział wówczas, jak cenna może być ta odkryta ciemna ciecz.

Kilkadziesiąt lat po jego śmierci, w połowie XIX wieku zbadano właściwości oleju skalnego, zwanego później powszechnie ropą naftową i zaczęto zakładać pierwsze kopalnie ropy. I niedługo później, w Harklowej, w miejscu studni wykopanej przez nieszczęsnego chłopa, wybudowano kopalnię ropy naftowej, która istnieje do dziś.

O wielkim dole w Załężu

pod jasielskim Załężu znajduje się wielki dół. Najstarsi mieszkańcy powiadają, że dawniej stał w tym miejscu kościół. Był okazały, zbudowany z grubych sosnowych belek, pokryty gontem. Obok niego znajdowała się studzienka z cudowną wodą, leczącą rozmaite schorzenia. Przychodzili doń liczni ludzie trapieni chorobami i wielu z nich po wypiciu paru łyków doznawało ulgi w cierpieniu.

Było tak przez wiele lat. Do czasu kiedy do Załęża przybyła pewna Cyganka. Zamieszkała w małej chatce za wsią. Wróżyła z ręki i kart, była znachorką i leczyła ziołami. Chociaż coraz więcej ludzi korzystało z jej usług, była zazdrosna, że częściej udają się do cudownej studzienki. Wielu mieszkańców Załęża i okolicznych wiosek obawiało się spojrzenia tej Cyganki. Mówili, że w jej oczach jest tajemna siła, a przenikliwy wzrok rzuca urok. Podawali przy tym liczne przykłady o tym świadczące. Ale byli i tacy, którzy uważali, że potrafiła skutecznie pomagać przy wielu chorobach.

Po kilku latach cudowne źródełko obok kościoła wyschło. Próbowano je pogłębić. Na nic. Wielu twierdziło, że to zasługa Cyganki, która rzuciła na nie urok. Było to jednak o tyle dziwne, że rzekoma winowajczyni nie chciała już leczyć ludzi.

Coraz rzadziej pojawiała się też we wsi. Potrafiła przez kilka dni nie wychodzić ze swej chaty. Nieraz w nocy wokół jej domu słychać i widać było wilki, które wyły do księżyca. Byli i tacy, którzy widzieli, że te wilki Cyganka karmiła. Niektórzy z mieszkańców wsi posądzali ją więc o konszachty z biesami i czarownicami.

Przez całe życie Cyganka nie chodziła do kościoła. Jakie było więc zdziwienie, gdy zaczęła się coraz częściej w nim pojawiać. Ciągle jednak spóźniała się na nabożeństwa.

Pewnego niedzielnego jesiennego poranka, biegnąc doń, zaczepiła nogą o kamień i runęła jak długa za ziemię.
Z wściekłości i bólu patrząc w kierunku kościoła zaklęła:
- *Bodaj byś się zapadł!*

Znajdujący się nieopodal ludzie struchleli. Ciarki przeszły im po grzbietach, bo grozą zawiało od tych słów. Cisza rozdzwoniła się nad ich głowami. Z przerażeniem spostrzegli, że na słowa Cyganki nagle pociemniało i ku ich zdumieniu świątynia zaczęła znikać zapadając się w głąb ziemi. Oczy wszystkich obserwatorów z napięciem wbijały się w ogromną, ciemną czeluść. Ludzie z przerażenia wstrzymali oddech. Gdy nieco ocknęli się ze strachu ukryli się w swych chatach. Nie wiedzieli co sądzić na temat zaistniałego faktu.

Od tego czasu nikt już Cyganki nie widział. Po parunastu dniach od pamiętnego wydarzenia kilku odważniejszych mieszkańców wioski udało się pod jej chatę. Słysząc wycie psa, a właściwie udomowionego przez nią wilka, zapukali do drzwi. Nikt nie otwierał, więc je popchnęli. Drzwi złowrogo zaskrzypiały. Gdy weszli do środka zobaczyli martwą Cygankę. Nie miała rodziny, więc pochowali ją na skraju cmentarza.

Odtąd jej dom był z dala omijany. Po kilku latach, gdy księżyc srebrnym światłem rozjaśnił niebo, straszliwa burza rozpętała się nad chatą. Pioruny biły w nią jeden po drugim. Wybuchł ogromny pożar, który doszczętnie strawił siedzibę fatalnej kobiety.

Dziś po tej chacie nie ma ani śladu. We wsi pozostał tylko dół po byłym kościele, który w tak tajemniczy sposób zniknął.

Śpiący rycerze spod „Gródka”

Z masywem Liwocza, z Brzyskami, a konkretnie ze wzgórzem „Gródek” wiąże się kilka legend. Jedna z nich mówi o istnieniu tam pod ziemią złotego żłóbka, pod którym śpi wielowiekowym snem armia polskich rycerzy. Przybyli oni na ten teren wraz z którymś z władców Polski z rodu Piastów. Śpią zakuci w zbroje, pod głowami mają siodła, pod ręką broń. Nieopodal nich stoją gotowe w każdej chwili do galopu ich piękne konie. Czuwa nad nimi tylko jeden strażnik.

Przed laty, w czasie upalnego lata pod „Gródek” dotarł młody drwal z Brzysk o imieniu Michał. Na ramieniu niósł siekierę i parcianą torbę na rzemieniu. Widać wesoło mu było na sercu, bo podśpiewywał sobie pod nosem. Szukając nieco cienia by móc usiąść i zjeść kawałek chleba z serem, natknął się na ukryte w zaroślach wejście do groty. Z ciekawości postanowił wejść do środka. Po kilku metrach napotkał strażnika. Młodzieniec przeraził się nie lada. Stary rycerz jednak uspokoił go i poprosił o pomoc:

- *Potrzeba mi wiele wiader wody aby ugasić pragnienie naszych koni. Ty musisz mi ją dostarczyć.*

Młody i przejęty chłop tylko skinął głową. Otrzymał nosidło i dwa drewniane wiadra i wyruszył do pobliskiej studni. Niebawem przyniósł pierwsze wiadra pełne wody. Potem odwracał tak kilkadziesiąt razy. Zmęczył się bardzo. Po jakimś czasie uzbrojony strażnik podziękował mu i wręczył kilka złotych dukatów.

Kiedy przybiegł do rodzinnej chaty z wypiekami na twarzy opowiedział domownikom o przeżytej przygodzie. Pomimo pokazywanych złotych dukatów nie chcieli uwierzyć w to, co

usłyszeli. Wziął więc ze sobą ojca i dwóch braci i udał się pod „Gródek". Na próżno jednak szukali tajemnego wejścia do groty. Przepadło jak kamień w wodę.

W słowa młodzieńca uwierzył jednak jego sędziwy dziadek, który opowiedział wszystkim domownikom, że od swego ojca słyszał, że faktycznie pod „Gródkiem" jest złoty żłóbek, pod którym śpią kamiennym snem rycerze. Co roku w dzień Bożego Narodzenia przyjeżdża tam król w pięknej, złotej zbroi, przygląda się temu miejscu i odjeżdża. Kiedyś jednak, kiedy zajdzie wielka potrzeba i przyjdzie największe zagrożenie, król przygalopuje na białym koniu, a ten kopytem przewróci żłóbek, który obudzi wojsko.

Słowa seniora rodu utwierdziły w domownikach przekonanie, że Michał nie kłamał, a pieniądze, które przyniósł uczciwie zarobił. Zakupił za nie spory kawał ziemi. Pracując ciężko dorobił się własnego gospodarstwa. Później ożenił się z piękną dziewczyną. Doczekali się czwórki dorodnych dzieci. Przechodząc nieraz obok „Gródka" rozglądał się wśród zarośli za pamiętnym wejściem do groty. Nigdy już go jednak nie zobaczył.

O pustelniku i rycerzu spod „Golesza”

Istnieje kilka legend związanych z krajowickim zameczkiem „Golesz”. Jedna z nich mówi o ukrytych w zawalonych podziemiach ogromnych skarbach, kolejna opowiada o duchu rycerza Bogorii, będącego przez jakiś czas właścicielem zamku, wędrującym po ruinach, a jeszcze inna o karczmie, w której ponoć gościł sam król Jan Kazimierz Waza.

My przybliżmy sobie mało znane podanie o pustelniku i rycerzu Ściborze. Oto ono.

W głębi lasu na stoku góry Golesz stała sobie uboga lepianka zbudowana z kamieni, gliny i splecionego chrustu. Jedna tylko była w niej izba, z każdego jej kąta wyglądała bieda. Mieszkał w niej i modlił się jeszcze młody, ale już z długą czarną brodą, pustelnik o imieniu Ścibor. Żył spokojnie z dala od ludzi, w harmonii z przyrodą, żywiąc się darami lasu. Wokół rozciągał się bór gęsty, tylko wiatr po nim cicho szumiał i ruszał drzewami.

Pewnego wieczoru, kiedy przygotowywał sobie skromną wieczerzę, ktoś zapukał w drzwi jego chałupki. Pustelnik bardzo rzadko miewał gości, więc ta wieczorna wizyta nieco go zaniepokoiła. Kiedy wyjrzał na dwór jego oczom ukazał się nieznany wysoki starzec o twarzy wysmaganej wiatrami, ubrany w długą, jasną, lnianą szatę. Był wsparty na sękatym kiju i okryty kurzem.

Zmęczonym głosem powiedział, że od wielu dni wędruje i ma przed sobą równie daleką drogę. Poprosił o kubek zimnej wody i możliwość odpoczynku.

Ścibor przyjął wędrowca jak mógł najlepiej. Podzielił się z nim wieczerzą, opatrzył mu skaleczoną stopę, a później przygo-

Duch rycerza Bogarii
-rysunek wg.ryc. M. B. Stęczyńskiego

towała mu legowisko, by mógł odpocząć i spędzić noc. Wkrótce sen ich zmorzył.

Nazajutrz spożyli wspólnie skromne śniadanie, po czym starzec podziękował za gościnę. Za dobre serce tajemniczy gość przekazał Ściborowi nadprzyrodzoną siłę o mocy uzdrawiania chorych i czynienia cudów. Odchodząc, zostawił mu także książeczkę z czarodziejskimi zaklęciami.

Odtąd coraz częściej do jego chatki przybywali ludzie, których leczył oraz uzdrawiał. Jego cuda stawały się szeroko znane.

Któregoś dnia wielka trwoga zapanowała w okolicy. Na tutejsze ziemie napadli Tatarzy. Okoliczna ludność zebrała się pod Goleszem prosząc swego pustelnika o pomoc i radę. Wówczas Ścibor użył swej największej mocy i wyczarował liczne hufce rycerskie, na czele których sam stanął w stroju rycerza.

Wywiązała się walka z najeźdźcą. Rżenie koni mieszało się z okrzykami i jękami ranionych ludzi. Szczękały miecze i topory bojowe, kruszyły się kopie. Ścibor dokazywał cudów męstwa i doskonale dowodził podległym mu rycerstwem. Wkrótce szeregi tatarskie zostały przerzedzone i w rozsypce wycofały się z pola walki.

Ludność wiwatowała na cześć zwycięskiego wodza, który zadał klęskę wrogom. Po tym wydarzeniu Ścibor już nie powrócił do roli pustelnika. Pozostał rycerzem i obiecał bronić mieszkańców tych ziem. Następnie na Goleszu, powyżej dawnej lepianki pustelniczej, wybudował sobie spory zamek i pojął za żonę córkę pana na Odrzykoniu.

W tym czasie Ścibor bardzo się zmienił. Nie był to już ten sam szlachetny, nieskazitelnie uczciwy i bogobojny człowiek. Sława i potęga zawróciły mu w głowie. Niezbyt długo był wierny swej pięknej żonie. Spodobała mu się bardzo inna córka rycerska, którą siłą sprowadził na Golesz. Było to wbrew jej woli, gdyż była już zaręczona i zakochana w kim innym.

Ścibor jednak chciał dopiąć swego. W dniu, w którym zamierzał ją poślubić, nieszczęsna dziewczyna skoczyła z zamkowego okna w przepaść. Zginęła. W tym samym czasie z rozpaczy i z żalu zmarła też jego prawowita żona. O północy przed Ściborem pojawił się duch ognisty i porwał go za jego czyny z otchłanie piekieł. Ogień strawił także i zamek, po którym zostały jedynie niewielkie fragmenty murów, które z biegiem czasu porozbierali okoliczni mieszkańcy.

Legenda o Mruku i Magurze

Z Zamczyskiem w Mrukowej wiąże się ściśle kilka wersji legend o rycerzu Mruku. Jedna z nich mówi, że właściciel wspomnianego zamku był panem całego Podkarpacia. Pewnego razu, jadąc przez las został napadnięty przez zbójców i zabity. Następnie jego mordercy udali się na zamek i obrabowali go. Nie dostali się jednak do lochów, gdzie zgromadzonych było najwięcej skarbów. Kiedy zamek zapadł się pod ziemię zabrał je ze sobą.

Tyle mówi ta wersja. My jednak przybliżymy sobie inną. Wśród borów, na szczycie Góry Zamkowej w Mrukowej stał ongiś panujący nad okolicą potężny warowny zamek zbudowany z kamienia. Zamieszkiwał go wraz z żoną Magurą rycerz Mruk. Był mężem dzielnym, mądrym i sprawiedliwym. Cieszył się poważaniem ludu. Panował on nad całym pasem Beskidu Niskiego. Przez pierwsze lata rządów czas swój dzielił między uczty i zabawy oraz polowania i wyprawy zbrojne. Od kilku lat prowadził jednak zaciętą wojnę z nieznanym bliżej władcą Walikiem.

Pewnego słonecznego dnia Mruk wraz z synem wybrał się na polowanie. Ustrzeliwszy dorodnego jelenia zatrzymali się na niewielkiej polance. Konie pasły się na łące, a dwaj myśliwi popijali wodę ze źródła.

Nagle z głębi lasu, niespodziewanie wyłonił się oddział jezdnych. Byli to ludzie pana Walika. Pędzili prosto na Mruka i jego syna, których konie spłoszyły się i stanęły dęba. Rycerz nie zdążył nawet sięgnąć po miecz, gdy został ugodzony włócznią w ramię. Jego syn został pochwycony i uprowadzony przez jeźdźców, którzy jakby niesieni wichrem uciekli z lasu, czyniąc przy tym wrzask i krzyk straszny.

Kiedy ranny Mruk powrócił do swojej siedziby, przybył wysłannik jego wroga, władcy Walika z Brzezowej, z żądaniem okupu za chłopca. Na te słowa Mruk pobladł, targnął nim gniew, a następnie poczerwieniał z oburzenia. Buta sąsiada targnęła nim do żywego. Siląc się na spokój stwierdził, że tym samym został zerwany zawarty niedawno rozejm oraz zapowiedział srogi odwet.

Niezwłocznie więc, jeszcze nie w pełni zdrów, wyprawił się na posiadłość wroga. Wyprawa nie powiodła się, a on sam zginął. Jego los podzielił uprowadzony przez wroga syn. Daremno wypatrywała ich powrotu urodziwa i roztropna Magura.

Odtąd mrukowskim zamkiem rządziła wdowa po Mruku. Nie była jednak już tą samą radosną i uśmiechniętą dobrą panią. Jej oczy stały się nieruchome i zimne. Wieczorami, gdy w komnatach zamkowych pogasły łuczywa i posnęli mieszkańcy grodu, często stawała w oknie wieży i płakała z tęsknoty za utraconymi najbliższymi. Podjęła też decyzję o rozpoczęciu przygotowań do kolejnej wyprawy na Brzezówkę, by pomścić śmierć męża i ukochanego syna.

Rządy zrozpaczonej i zdeterminowanej Magury nie trwały zresztą długo, gdyż kolejne nieszczęście zawisło nad Zamczyskiem i jego władczynią.

Którejś nocy nad mrukowskim grodem przelatywał diabeł. W swych kosmatych, potężnych łapskach trzymał ogromny głaz, który zamierzał zrzucić nad kościołem w Samoklęskach. W momencie, gdy znalazł się nad zamkiem, zapiał kur. Wówczas czart utracił swą moc i kamień runął na budowlę. Znajduje się tam do dziś. A po miejscu gdzie stała warownia pozostała tylko nazwa Zamczysko.

Opowieść o Rysowanym Kamieniu

W okolicy Czernnej, w lesie na tzw. Okolu, na jednym ze wzgórz, zwanym Rysowanym Kamieniem, znajduje się spory kamień z tajemniczymi znakami. Wiąże się z nim ciekawa legenda.

Dawno temu, w Wielki Piątek z jarmarku z Jodłowej szedł tędy jeden z miejscowych chłopów. Był zadowolony z życia gdyż udało mu się bardzo dobrze sprzedać krowę. Za uzyskane pieniądze poczynił sporo zakupów, które niósł do domu. W swej przepastnej parcianej torbie na sznurku niósł słoninę, bochen chleba, kilka zwojów kiełbasy, butelkę wina oraz w zawiniątku sporo gotówki. Zbliżała się Wielkanoc, więc cieszył się, że będzie i co na świąteczny stół postawić, a i pieniądze się przydadzą, bo nowe narzędzia chciał kupić.

Zbliżało się południe. Słońce było już wysoko, więc mocno przygrzewało. Droga schodziła do lasu. Chłop poczuł ulgę, gdyż gęste drzewa przesłoniły promienie słoneczne. Przyspieszył kroku, bo droga przed nim była jeszcze dość długa. Spieszył się też dlatego, że tego samego dnia po południu miał jeszcze sporo pracy. Musiał przywieźć drzewo z lasu, a później je jeszcze przed Wielką Sobotą porąbać.

Był już zmęczony, więc gdy przy leśnej drodze zobaczył w cieniu drzew dużych rozmiarów kamień usiadł, aby choć na chwilę odpocząć. Wtedy to do dzieła przystąpił jeden z biesów żyjących w miejscowych lasach. Postanowił sprowokować chłopa do popełnienia ciężkiego grzechu. Starał się tak skutecznie, że w końcu udało mu się go omamić i namówić, by nie zważając na post i dzień Wielkiego Piątku, wyciągnął z torby pęto kiełbasy i rozpoczął je zjadać.

Wówczas bies postanowił chłopa ukarać i przyczynić się do jego skazania na potępienie. Przybrał przeto postać ogromnego wilka, po czym wyszedł zza drzew i ukazał się siedzącemu na kamieniu człowiekowi, ten znieruchomiał. Nigdy wcześniej nie widział tak wielkiego wilka. Kiedy zwierzę otworzyło pysk jego oczom ukazały się potężne białe kły. Z pokrwawionymi ślepiami i z pianą na pysku rzucił się nagle w kierunku przerażonego chłopiny. Ten jednak zachował tyle zimnej krwi, że pochwycił oburącz łańcuch na którym wcześniej prowadził krowę i zaczął z całej siły okładać rozjuszoną bestię w wilczej skórze.

Nie na wiele się to zdało. Z upływem czasu zwierzę zadawało słabnącemu człowiekowi coraz więcej ran broczących krwią. Nagle chłop przewrócił się. Bestia jakby tylko na to czekała. Przyparła do rannego i zagryzła swą ofiarę.

Niemym świadkiem tego wydarzenia pozostał kamień, na którym do dziś pozostały ślady od uderzeń łańcucha, ślady ogromnych pazurów wilka oraz wgłębienie, gdzie siedział ów nieszczęsny chłop.

O Jakubie Szeli

Pamiętny był rok 1846. We wszystkich trzech zaborach nie doszło do planowanego powstania ogólnonarodowego. Dodatkowo na terenie Galicji urzędnicy austriaccy przekonywali chłopów, że szlachta chce wymordować swych poddanych. Zachęcali ich, by w czynny sposób przeciwstawiali się nieprzyjaciołom tak kochającego ich najjaśniejszego pana, a w nagrodę obiecywali zniesienie pańszczyzny.

Natrafili na podatny grunt. Na wsi panował głód i choroby. Wielu chłopów nienawidziło szlachtę, miało poczucie krzywdy i wielowiekowego ucisku pańszczyźnianego. Nic dziwnego, że to wszystko przyniosło żniwo w krwawym buncie chłopskim, czyli rabacji, która objęła także nasze ziemie.

Trudno ocenić na ile legendą, a na ile prawdą jest opowiadanie ze Smarzowej związane z tymi wydarzeniami.

Budził się mroźny, choć słoneczny dzień. Z lasu wyłonił się kilkunastoosobowy oddział jezdnych. Jechali konno na oklep, ubrani z chłopska, w białe płótnianki i baranie kożuchy. W ich rękach połyskiwały kosy postawione na sztorc, siekiery i widły.

Prowadził ich człowiek w średnim wieku, o długich opadających na ramiona włosach. Był to Jakub Szela, przywódca rabacji. To nazwisko budziło i przerażenie i podziw. Dla jednych był symbolem bohatera, obrońcy i przywódcy chłopskiego, mściciela ich krzywdy, inni przedstawiali go zaś jako rzezimieszka, buntownika, złodzieja, podpalacza i mordercę. Mówiono o nim, że zabił też własną żonę. Od dłuższego czasu jego rebelianci napadali na dwory, rabowali i mordowali szlachtę. Chłopi masowo odmawiali odrabiania pańszczyzny.

Szela już wcześniej mocno naraził się swemu dziedzicowi z rodu Boguszów, właścicielowi Smarzowej oraz jego bratu, dziedzicowi z Siedlisk. Teraz chciał z nimi wyrównać rachunki.

Oddział zbuntowanych chłopów podjechał pod bramę smarzowskiego folwarku. Rozbito ją uderzeniami siekier. Przerażona służba uciekła do zabudowań dworskich. Rebelianci zajechali na plac przed dworem Boguszów. Kilku chłopów z wrzaskiem wbiegło do budynku skąd po chwili słychać było płacz kobiet i dzieci oraz krótką szamotaninę. Niedługo potem na dziedziniec wyprowadzono kilku mężczyzn w szlacheckich strojach, w tym samego dziedzica.

Uderzeniami obuchów siekier powalono ich na ziemię. Po każdym ciosie chłopi przypominali im, jak ich gnębili. Następnie na rozkaz Szeli przystąpili do pastwienia się nad dziedzicem. Żywcem rżnięto go piłą do drewna.

- *Rżnijcie powoli, powolutku, bo to było dobre panisko* - z ironią mówił do nich przywódca.

Po zabiciu dziedzica i obrabowaniu dworu Szela wraz z ludźmi skierował się do siedziby jego brata w Siedliskach. Gdy przejeżdżali przez sąsiednie wioski, sprawiały one wrażenie, że wymarły. Chociaż ich mieszkańcy wiedzieli, że Krwawy Jakub napada tylko na szlachtę, większość wolała schodzić mu z drogi. Było jednak i sporo takich, którzy przyłączali się do jego oddziału.

Po dotarciu na miejsce chłopi na rozkaz Szeli otoczyli dwór. Kopniakami i uderzeniami kijów przepędzili służbę. Dziedzic wraz z rodziną i swymi gośćmi schronił się w domu. Po wyważeniu drzwi i wejściu do środka, na oczach kobiet i dzieci, chłopi rozprawili się z wszystkimi obecnymi tam mężczyznami. Samego dziedzica Szela osobiście przebił widłami w jego pokoju. Krew rozprysła się po całej izbie.

Zmierzchało już gdy po ogołoceniu dworu mściciele krzywdy ludu ruszyli dalej. Nie zdawali sobie sprawy, że jak inni stali się ślepym narzędziem w ręku Austriaków, którzy posłużyli

się nimi by stłumić narodowe i społeczne powstanie przygotowywane wówczas przez szlachtę.

Kiedy po tych krwawych zajściach w dworze w Siedliskach usiłowano zetrzeć ze ścian pokoju dziedzica jego krew nie dało to żadnego efektu. Próby ponawiano kilkakrotnie. Bez skutku. Wówczas na polecenie wdowy po Boguszu ściany pobielono. I to nic nie dało. Czerwone, krwawe plamy przebijały nadal. W końcu zastawiono je dużą szafą, ale i tak niewielu mieszkańców dworu i jego gości chciało przebywać w pokoju, gdzie popełniono tę straszną zbrodnię.

A co z Jakubem Szelą? Austriacy przesiedlili go na Bukowinę, gdzie otrzymał gospodarstwo. I choć tam zmarł, ponoć jego upiorny duch później wielokrotnie krążył nocami nad okolicami Smarzowej i Siedlisk.

Legendy Liwocza

Z górą Liwocz związanych jest kilka pięknych podań. Jedno z nich mówi nam o wielkim kamieniu leżącym u jego stóp. Podobno pozostał po starym pustelniku, który na nim przez wiele lat modlił się i pokutował za swe grzechy. A że trwało to bardzo długo, to od klęczenia wyżłobiły się dwa dołki, które do dziś pozostały.

Ponoć, gdy wybudowano Biecz, na szczycie Liwocza istniało już znacznie wcześniej nie mniejsze miasto. Połączono je ze sobą podziemnym tunelem, którym Królowa Jadwiga uciekała z grodu bieckiego przed Tatarami. Gdy dotarli oni w pościgu pod Liwocz, tak znajdujące się tu miasteczko, jak i sam tunel zawaliły się na głowy tatarskich oddziałów, zapadając się pod ziemię. Inna wersja tej legendy mówi, że tymi zasypanymi mieli być rycerze polscy, którzy następnie zasnęli wielowiekowym snem.

Oprócz wspomnianych istnieje również mało znana legenda ściśle związana z Liwoczem. Jak daleko sięga pamięć ludzka, szczytami wzgórz na czele z Liwoczem i Rysowanym Kamieniem biegła droga handlowa, po której od czasów starożytnych ciągnęły wozy kupieckie. Często na nie napadały lokalne bandy zbójców i rabusiów. Bandyci mieli swe kryjówki w nieprzebytych borach, które rozpościerały się wokół.

Przy trakcie handlowym stała drewniana karczma, w której równie często, jak zdrożeni kupcy bywali i zbójcy. Nieraz ławy uginały się od jadła i napojów, a towarzystwo bawiło się do świtu przy dźwiękach skrzypek. Z czasem hulanek było coraz więcej i liczba przygrywających muzyków się zwiększyła. Mieszkańcy okolicznych wsi mówili, że kto przekracza próg karczmy zapomina o całym świecie. Faktycznie, kto tam wstąpił, tańcował bez opamiętania, opróżniał gąsiory wina i kufle piwa,

swawolił i klął. Na porządku dziennym były też rozmaite rozboje i krwawe bijatyki. Wszystko to siało wokół zgorszenie i odrazę.

W końcu rozgniewał się z tego powodu sam Pan Bóg. Bolał nad tym, że poczciwy, pracowity i bogobojny lud musi patrzeć na to co się dzieje w tej kolebce grzechu. Nic przeto dziwnego, że któregoś letniego przedpołudnia, kiedy mieszkańcy okolicznych wsi żęli zboże, w karczmie pojawił się wysłannik piekła. Wokół panowała niczym niezmącona cisza. Kilku całonocnych pijanych biesiadników i grajków kapeli leżało pokotem w izbie i spało. Gdy czart przekroczył próg karczmy świsnął we dwa palce tak silnie, że wszyscy śpiący zerwali się na równe nogi. Zbledli i stanęli jak wryci. Tymczasem wysłannik piekieł wypatrzył sobie jednego z grajków, po czym pochwycił go za kark i pociągnął za sobą. Kiedy znaleźli się już w lesie, diabeł wyjawił chłopu, że za jego długoletnie występki w karczmie zabiera go do otchłani piekieł. Wówczas grajek podrapał się z frasunku w głowę, pomyślał i pogodzony z losem zwrócił się do czarta tylko z jedną prośbą. Zapytał czy może zabrać ze sobą swój instrument.

Diabłowi spieszyło się, machnął więc ręką na znak zgody i wrócili do karczmy. Stwierdzili, że jest ona pusta. Grajek zabrał swoje skrzypki i udali się w kierunku lasu. Tam nagle przystanęli. Przed nimi otworzyła się ziemia i diabeł nakazał chłopu skoczyć w otwartą otchłań. Markotno zrobiło się grajkowi, gdyż żal mu było opuszczać ziemski świat i swoich kompanów. Zawołał więc – *Zgiń, przepadnij maro!*
Nic mu to nie dało, rozzłościło jedynie czarta, który popchnął go z całej siły i razem wpadli w ciemną czeluść. I odtąd grajek z liwockiej karczmy przygrywa w piekle lucyferom, diabłom, czartom i biesom. A w miejscu, gdzie pochłonęło go piekło nieraz słyszano spod ziemi zawodzenie tęsknej i pełnej lamentu melodii na skrzypcach. Kto tych dźwięków doświadczył, z sercem na ramieniu zmykał z doliny, którą nazwano „Piekło".

Trzcinicki dzwon

Wiekowa Trzcinica może poszczycić się niesłychanie bogatą historią. Dumna jest także z jednego z najstarszych kościołów drewnianych w Polsce. Obok niego znajduje się dzwonnica a przy niej rosną trzy, liczące około sześć wieków dęby.

Przed laty przez wioskę wił się jak wąż niewielki strumyczek. Omijał wybielone chaty chłopskie, wiejską drogę i niedaleko starego kościółka przepływał przez niewielkie bagno. Porośnięte było ono pochylonymi wierzbami, leszczyną, wikliną, trzciną i wszelakim zielskiem i chaszczami. Wieczorami słychać było stąd rechot żab i muzykowanie świerszczy. Ot, takie sobie bagienko. Nikt wówczas nie zdawał sobie sprawy, że kiedyś może stać się miejscem związanym z legendą. Ale po kolei.

Rzecz wydarzyła się w czasach rozbiorów. Austriacy, nie zawsze traktowali Polaków wiele lepiej niż pozostali zaborcy. Doświadczali tego także mieszkańcy naszego regionu, w tym i Trzcinicy. Liczne wojny, jakie toczyli wiedeńscy władcy uderzały w całą ludność monarchii, jednakże ubogie wsie ponosiły ich największe koszty. Tak też miało być i tym razem.

Ludność naszego regionu po raz kolejny odczuła na sobie, że Austriacy rozpoczęli kolejną wielką wojnę. Do wyznaczonego przez c.k. armię kontyngentu rekrutów poszło wielu młodych mężczyzn. Ich rodziny zadawały sobie pytanie:
Czy powrócą?

Wojna ta uderzyła też w biedotę wiejską w inny sposób, zwiększono im podatki i wprowadzono obowiązkowy kontyngent na płody rolne.

Zmierzchało, gdy pod trzcinicki kościół podjechało konno trzech żołnierzy austriackich. Jeden z nich w mundurze oficera

wskazał ręką na znajdującą się dzwonnicę. Wymienili między sobą kilka zdań i odjechali. Świadkiem tej sceny był syn jednego z miejscowych gospodarzy. Doszedł do wniosku, że o tym co widział powinien powiedzieć ojcu. Tak też uczynił.

Ojciec bardzo się zafrasował. Wiedział, że w czasie wojen prowadzące je strony często zabierały rozmaite przedmioty z metalu w celu przetapiania ich na armaty i broń. Skoro widziani żołnierze tak bacznie przyglądali się ich dzwonnicy zachodziła obawa, że pewnie chcą zabrać na ten cel i ich zabytkowy, piękny dzwon. Cóż zrobić?

Nie zwlekając narzucił na siebie kurtkę, wstąpił do kilku sąsiadów i wspólnie udali się do księdza proboszcza. Zbliżała się północ, księżyc schował się za chmurą, ale baczny obserwator mógł zauważyć przy świetle świec w trzcinickiej plebanii cienie kilkunastu mężczyzn.

Nagle cicho skrzypnęły drzwi i jeden po drugim szybkim krokiem poszli pod dzwonnicę. Po jakimś czasie ściągnęli zawieszony tam dzwon i z wielkim trudem przetaszczyli go nad pobliskie bagno. W ruch poszły łopaty. Wykopano dół, w którego głębi ukryto zdjęty niedawno dzwon.

Nad Trzcinicą powoli wytoczyło się poranne słońce. Budził się kolejny dzień. Pod kościół zajechał wojskowy wóz i przybyło kilkunastu żołnierzy. Okazało się, że trudzili się nadaremnie. Oficer kazał sprowadzić proboszcza. Gdy się pojawił, Austriak zaczął na niego krzyczeć i mu grozić. Duchowny milczał. Po jakimś czasie oficer wydał komendę i żołnierze wsiedli na wóz i odjechali. Dziw, że zaborcy nie wyciągnęli później większych konsekwencji za to dziwne zniknięcie tak cennego dla nich „materiału wojennego".

Minęły lata. Kończyła się pierwsza wojna światowa. Budziła się niepodległa Polska. Monarchia austro-węgierska upadła. Mieszkańcy Trzcinicy przystąpili niezwłocznie do wydobycia swego dzwonu. Wielu mężczyzn trudziło się przekopując całe bagno. Jednak wnet się okazało, że ciężki dzwon został wchłonięty bardzo głęboko i nie ma szans na jego

wyciągnięcie. Wszyscy zasmucili się, że już więcej nie usłyszą jego bicia.

Ale jakiś czas później znaleźli się i tacy, którzy zaklinali się, że gdy nieraz nocą przechodzili obok przykościelnego bagienka, słyszeli głuchy, smutny dźwięk dzwonu. Jak tam było naprawdę – trudno powiedzieć, ale kto wie?

Z legend kołaczyckich...

Najbardziej popularne i znane podania związane z tą miejscowością i byłym miasteczkiem, dotyczą wąsów. Jedno z nich mówi o tym, że pewnemu z jego mieszkańców obcięto z jednej strony wąsy i żeby ten ubytek wyrównać, doradzono mu, by brakującą część dokupił. O tym, że wąsy i Kołaczyce są ze sobą ściśle i nierozerwalnie związane świadczą i inne legendy. Na przykład ta opowiadająca, jak to król Jagiełło rozkazał obciąć je miejscowym rajcom za to, że kołaczyccy szewcy nie uszyli na czas butów dla jego wojska. Inna jej wersja mówi, że była to kara z rozkazu starosty Zyndrama z Maszkowic, pana na Goleszu.

Warto jednak przybliżyć sobie podanie o wydarzeniu, z którym można wiązać nazwę Kołaczyce.

Było to przed ponad siedmiuset laty. Na nasze ziemie zwaliły się hordy wojowników z dalekiej Azji. Z okrzykami: *„Ałła! ałła!”* pustoszyli i palili miasteczka oraz wioski, a ich mieszkańców wycinali w pień lub uprowadzali w jasyr.

Od wczesnego ranka w osadzie zapanował niepokój. Dotarła tu wiadomość, że w okolicy grasuje jeden z oddziałów ordy tatarskiej. Kobiety truchlały ze strachu, mężczyźni rozpoczęli gorączkowe przygotowania do obrony. Przez cały dzień szykowali się do walki, gdyż nie mieli zamiaru poddać się przed najeźdźcą. Rozstawili warty, które czujnie wypatrywały skośnookich wojowników, a reszta pozostawała w pełnej gotowości.

Późnym popołudniem jeden z wartowników nagle zawołał: - *Jazda!* Kto żyw zerwał się na nogi, kurczowo łapiąc broń i chowając się za zbudowanym naprędce wałem z ziemi

i drewna. Rychło z łuków wystrzelono w kierunku napastników pierwsze strzały.

Tatarzy byli zdezorientowani. Liczyli jak zwykle na pełne zaskoczenie, a tymczasem spotkali się z nieoczekiwanie zaciętym oporem. Po jakimś czasie Tatarzy się wycofali. Niedługo później pod wał obronny dotarł z zatkniętą na kiju białą szmatą jeden z nich. Łamaną polszczyzną obiecał, że jeśli mieszkańcy osady zapłacą im niewielki okup, to odjadą dalej i nie będą ich nękać. Na czas zebrania wymienionej sumy, zażądał oddania jako zakładników kilku miejscowych dziewcząt. Dał obrońcom czas na zastanowienie się i odjechał.

Decyzję podjęto pod wieczór. Po uzyskaniu dodatkowych zapewnień, że po odebraniu okupu naprawdę odejdą i nikomu z mieszkańców nie spadnie włos z głowy, wyrażono zgodę. Z duszą na ramieniu udały się do obozu tatarskiego przestraszone dziewczęta. Miały powrócić, gdy nazajutrz przed zachodem słońca obrońcy przyniosą sakiewkę pełną złotych monet.

Następnego dnia wszyscy złożyli się na obiecany okup i nie zwlekając do wieczora wyprawiono z nim do najeźdźców umyślnego posłańca. Z niepokojem wyczekiwano jego powrotu i zakładniczek.

Upłynęło sporo czasu a nikt z nich nie wracał. Napięcie rosło z każdą chwilą. Niespokojny i złym przeczuciem tknięty ojciec jednej z odesłanych dziewcząt zdecydował się pójść do obozu tatarskiego i dowiedzieć się co się stało.

Przeskoczył przez wał i wąską dróżką ruszył w kierunku lasu. W tym czasie księżyc wyszedł zza drzew i swym srebrnym światłem rozjaśnił drogę. Mężczyzna dostrzegł przed sobą blask ogniska i usłyszał odgłosy dochodzące z obozowiska. Przeżegnał się i zdecydowanym krokiem ruszył w jego kierunku. Kiedy dotarł przed oblicze przywódcy oddziału i zapytał dlaczego nie dotrzymał umowy, ten zaśmiał się i odrzekł, że się rozmyślił. Po czym dodał:

- *Idź do swoich, zbierzcie jeszcze drugie tyle złota. Wtedy wydam wam wasze kobiety. Inaczej zabawimy się z nimi, a potem rozprawimy się z wami.*

Mężczyzna tylko zacisnął pięści. Nie powiedział nic, odwrócił się i szybkim krokiem udał się do swoich. Gniew targnął obrońcami gdy usłyszeli, że Tatarzy ich oszukali i nie dotrzymali słowa. Nie zwlekając, uzbrojeni w solidne „koły", czyli kołki z płotu, podeszli cicho pod obóz wroga, a następnie rzucili się na nich zadając im klęskę. Odebrali też zakładniczki i posłańca.

Wśród uciekających w rozsypce Tatarów znalazł się jeden, który srogo ucierpiał w walce z chłopami. Ranny doczołgał się do płynącej nieopodal Liczkówki. Doświadczył tam uzdrawiającej mocy jej cudownej krystalicznej wody. Uratowała mu życie i odtąd już nie niepokoił spokojnych ludzi. A bohaterscy obrońcy od „kołów", swej niezawodnej broni, którą pokonali wrogów, nazwali swą miejscowość Kołaczycami.

O zbóju Osipie Sypko

W południowej części Ziemi Jasielskiej, w paśmie Beskidu Niskiego sławny był dawnymi czasy zbójnik Osip Sypko, zwany równie często Scypko. Zbójował, gdyż w ten sposób mścił się za krzywdę wyrządzoną przez „dworskich" jego matce i siostrze. Zamieszkiwał on ponoć jaskinie w okolicy Folusza i na terenie Komutów. O nim mówi ta legenda, która jest jedną z kilku wersji.

Działo się to dawno temu, w głębi puszczy beskidzkiej na rozmiękłym wiosennymi deszczami trakcie. Zbliżał się wieczór, las szumiał złowrogo. Dwa wozy kupieckie z trudem toczyły się po wielce błotnistej drodze. Konie były już bardzo zmęczone toteż kupcy nakazali swym woźnicom by zatrzymali się na krótki odpoczynek. Nikt z nich nie zauważył, że między drzewami pojawiły się jakieś postaci. Po cichu, jak leśne duchy, otoczyły podróżnych.

Nagle z obu stron drogi wyskoczyło kilkunastu uzbrojonych, w większości brodatych ludzi. Największą grozą powiało od jednego z nich, młodego z czarną opaską na jednym oku.

- *Zbójnicy...* – wyszeptali strwożeni kupcy chowający się jeden za drugim. Kto nie zdążył uskoczyć przed uderzeniami, ten padał śmiertelnie sieczony. Zbóje zrabowali wszystko. Zabrali wozy, konie, sakwy, skrzynie, naczynia, sukno, skóry, pachnidła i ozdoby. Kupcom, których nie usiekli, zabrali przyodziewek i srogo ich wybatożyli. Zemdleni osunęli się na skraj traktu.

Rankiem tą samą drogą przyjeżdżał ze swymi ludźmi szlachcic spod Osieka powracający z Węgier. Napotkanych rannych opatrzyli i odziali. Kiedy poszkodowani opowiedzieli co ich spotkało, szlachcic zapytał, czy był wśród zbójów człowiek z opaską na oku, ci skinęli głowami. Na te słowa ich wybawcy

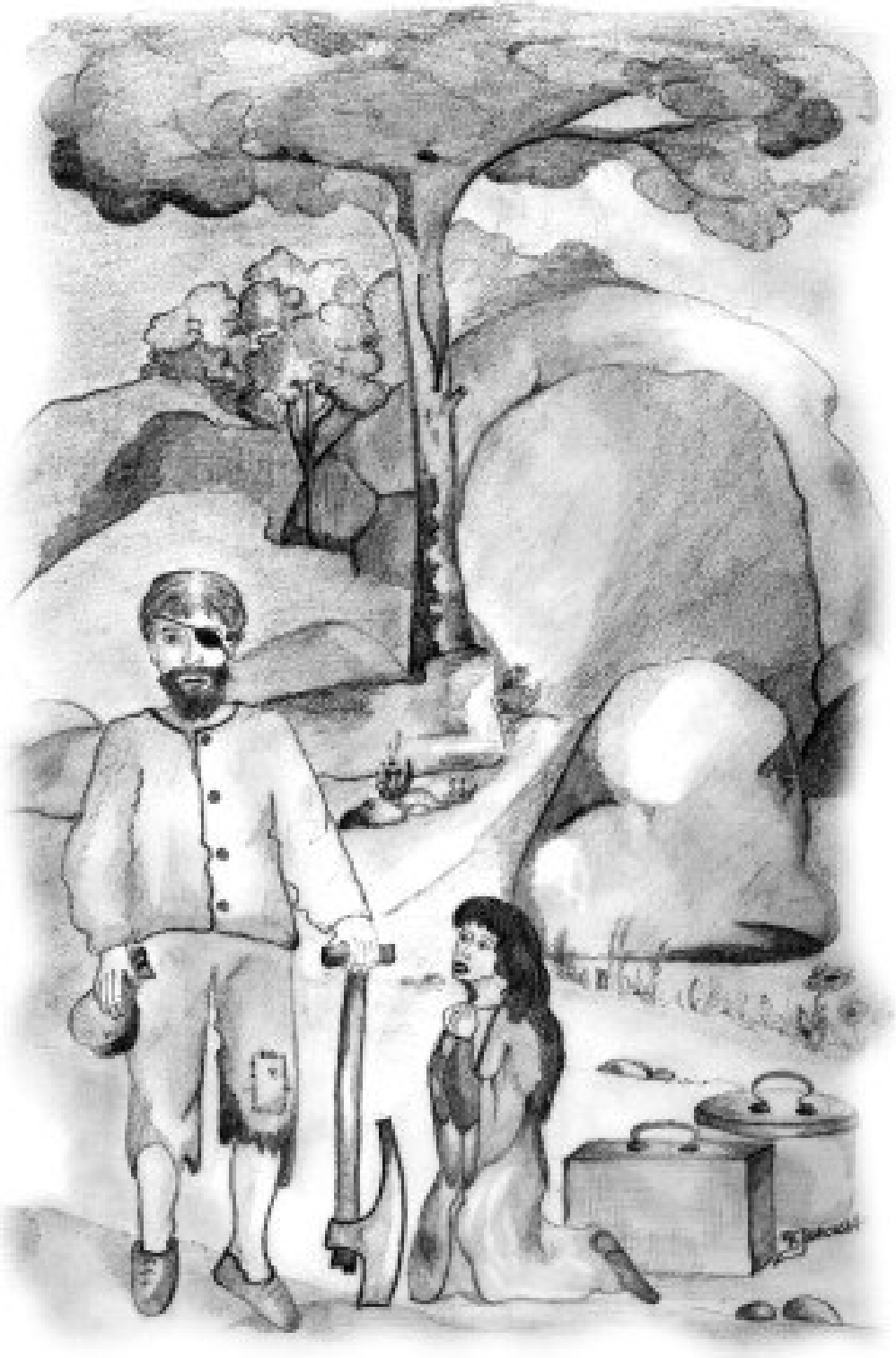

zgodnie stwierdzili, że i tak mieli wiele szczęścia, że uszli z życiem, ponieważ Osip Sypko zawsze zabija swoje ofiary.

- *Kim jest ów Sypko?* – zapytał jeden z kupców.

- *To długa historia* – rzekł szlachcic.

- *Ale jeśli chcecie to wam o nim opowie jeden z moich ludzi. Pochodzi z tych stron, więc zna go dobrze. Mów Józefie!*

Starszy, o wypłowiałych sumiastych wąsach, człowiek rozpoczął opowieść. Kupcy dowiedzieli się z niej, że Osip pochodził z bardzo biednej, wielodzietnej rodziny chłopskiej. Jego ojciec zmarł wcześnie. Matka ciężko pracowała na małym skrawku roli i najmowała się na zarobek. Żyli w nędzy. Dzieci pomarły. Został tylko on i jego siostra. Nikt nie okazywał im serca, nikt nie chciał pomóc. Wręcz przeciwnie, naśmiewano się z nich, a dzieciom, w tym szczególnie małemu Osipowi ciągle dokuczano, wyzywając od dziadów.

A i tamtejszy dziedzic traktował ich gorzej niż innych, wykorzystywał i zmuszał do najgorszych robót. Matkę oskarżył o kradzież z dworu płótna lnianego i za to ją prześladował. Kobieta i jej dzieci nieraz wracali z folwarku posiniaczeni. Mały Osip tylko zaciskał zęby i pięści. Już wtedy ponoć obiecywał zemstę. Któregoś dnia chłopiec został przez dworskich złapany, gdy upolował zająca w lesie. Tak go obili, że stracił oko.

Kiedy chłopak dorósł, wynajął się jako parobek u bogatego gazdy. I on znęcał się nad Osipem i zmuszał do ciężkiej pracy. Któregoś dnia wyjechał ze swoim gospodarzem na jarmark. Tam miało miejsce pewne zdarzenie. Jakiś szlachcic kupił swej ukochanej córce pięknego konia, lecz kiedy ta nań wsiadła, rumak poniósł. Dziewczyna pędziła na rozszalałym rumaku na zatracenie. Widząc co się dzieje, Osip wskoczył na oklep na pierwszego z brzegu konia i pognał za nią. Uratował dziewczynę, za co jej wdzięczny ojciec nie pożałował odważnemu młodzieńcowi grosza.

Chciwy dziedzic, który był świadkiem tego wydarzenia, pozazdrościł mu tych pieniędzy i postanowił go ograbić. Nocą jego ludzie napadli na dom biednej wdowy, zrabowali cenną

sakiewkę, a chałupę podpalili. Spłonęła w niej Osipowa matka i siostra. Kiedy ten, będący wówczas poza domem, dowiedział się o kolejnej krzywdzie jakiej od dworskich doświadczyła jego rodzina, wypowiedział im wojnę. Poszedł do lasu zbójować. Rychło zorganizował bandę, której został hersztem. Napadali na okoliczne dwory, miasteczka, karawany i wozy kupieckie. Pomścił też swoją matkę i siostrę zabijając winnych ich nieszczęść i śmierci.

Stary Józef ciągnął dalej:

- Od wielu lat rabuje, bije, morduje, mszcząc się na wszystkich za krzywdy jakich doświadczył od bogatych ludzi on sam, jego matka, siostra i inni biedacy. Jest nieuchwytny. Na przestrzeni od Dukli po Bartne posiada wiele leśnych kryjówek. Wszyscy się go tu boją, choć wielu mówi, że często swe łupy rozdaje biednym.

Wąsaty Józef skończył, a kupcy zadumali się. Czuli się dziwnie. Z jednej strony tak srogo byli doświadczeni przez tego zbója, z drugiej jednak jakby chcieli go usprawiedliwiać. Widać zrobiło się im żal tego nieszczęśliwego mściciela swojej krzywdy, który już za życia przeszedł do legendy.

Po latach mówiono, że największą kryjówką Sypki, obok jaskini w Kornutach, była grota w lasach Folusza. Tu ponoć zgromadził największe skarby, w jej sąsiedztwie rzekomo także zginął z rąk żołnierzy cesarskich. Do dziś zachowała się nazwa w foluskim lesie: „Sypkowa Młocka".

Jak chłop przechytrzył diabła

Malownicze okolice Krempnej mogą się pochwalić kilkoma legendami. Jak choćby związaną z nieistniejącą już dziś wsią Rostajne. W miejscu tym rzeczywiście znajdują się rozstaje dróg. Według jednego z podań, przed wiekami doszli doń trzej bracia wędrowcy. Chcąc doświadczyć w pojedynkę wielu przygód i poznać kawałek świata rozeszli się w tym miejscu. I stąd wzięła się nazwa wsi Rostajne, a z racji, że jeden z nich poszedł w nieznane i wkrótce zaginął, sąsiadująca z Rostajnem wieś nazwana została Nieznajowa.

Inna ciekawa legenda z gminy Krempna pochodzi ze Świerzowej. Działo się to w czasach bardzo dawnych, kiedy to w górach i lasach Beskidu Niskiego było wiele duchów wieczystych. Żyły tam diabły, biesy, czarownice, zmory i mamuny. Może ich było nawet więcej niż mieszkających tam ludzi. Mogły one przyjmować różne postaci zwierząt i ludzi, ale najczęściej straszyły swym naturalnym wyglądem. Gdy dopadły człowieka wodziły go na pokuszenie żeby posiąść jego duszę i zanieść do piekła samemu Lucyferowi. Diabliska wychodziły często niemalże ze skóry byle tylko ludziom zamieszać w głowach, ogłupić ich, omamić, skusić i sprowadzić na złą drogę. Rzadko bo rzadko, ale jednak zdarzało się, że jakiemuś człeczynie udało się przechytrzyć czarta.

Dane to było pewnemu chłopu ze Świerzowej. Był sprytny i niegłupi, nie grzeszył jednak pracowitością. Kiedy jego żona wychodziła w pole, on wolał wylegiwać się pod jabłonią, kiedy zajmowała się chudobą, on szedł do karczmy. Kobieta długo i cierpliwie znosiła ten stan rzeczy, ale do czasu. Któregoś dnia

zrobiła więc swemu mężowi srogą awanturę i kazała mu wziąć się za jakąś robotę.

Chłopu głupio się zrobiło, podumał i podrapał się w czuprynę. Poszedł do stajni, zaprzągł konia, założył na wóz pług i brony i wyruszył na pole pod lasem. Gdy przybył na miejsce ostro wziął się do roboty. Zapału nie starczyło mu na długo. Wkrótce się zmęczył, cisnął lejcami na ziemię i krzyknął pełnym głosem:
- *Do diabła z takim życiem. Nie nadaję się do harówki! Cosik muszę wykombinować, żeby zdobyć większy pieniądz, a nie narobić się!*

Na te słowa coś zahuczało, zaświstało i przed chłopem stanął prawdziwy diabeł, kudłaty, z rogami i ogonem. Wieśniak nieco się strwożył, ale nie dał tego po sobie poznać. Rozpoczęli rozmowę. Diabeł słysząc, że mężczyzna potrzebuje sporo grosza zaproponował mu pękatą sakiewkę pod warunkiem, że odda mu swą duszę. Chłop nie był w ciemię bity, więc zaczął swoją grę. Umyślił sobie, że wykorzysta okazję i przechytrzy diabła. Zrobi tak, że i pieniądze zarobi i duszy nie straci. Zaproponował czartowi, że zastanowi się nad jego propozycją, ale póki co, niech mu zawartość tej sakiewki pożyczy. Diabeł się zawahał, ale po chwili się zgodził.

Mijały dni. Chłop kupił nową chatę, wziął sobie parobka. Żona była zadowolona, a i on sam dalej się nie przemęczał. Kilkakrotnie nachodził spryciarza diabeł, ale nic nie wskórał. Za każdym razem był odprawiany z kwitkiem.

Którejś pochmurnej nocy chłopa obudziło walenie do okna. Wyszedł z chaty i zobaczył biednego i strapionego diabła w towarzystwie jakiejś ważnej czarciej persony.
- *Ktoś ty?!* – groźnym głosem zapytał chłop nieznaną postać.
- *Jakem Lucyfer, oddawaj draniu coś pożyczył!*
- *Czekaj tatka latka Belzebubie zafajdany. Prędzej się nasza Mareszka z inną górą zejdą niż ty zobaczysz swoje pieniądze!* – zaśmiał się wieśniak.

Rozwścieczony tym co usłyszał, Lucyfer tylko zaklął i wraz ze skulonym ze strachu diabliskiem zniknęli. Chcąc jednak

koniecznie odzyskać utracone dukaty zebrał sporą zgraję diabłów, czartów i biesów i kazał im przesunąć Mareszkę.

Wielka była połączona moc sił piekielnych. Przeto nic dziwnego, że góra ruszyła. Miejscowy ksiądz nie mógł pozwolić na to, żeby siły nieczyste zburzyły porządek ustanowiony przez Boga. Udał się więc do diabłów, którzy po długich targach ustąpili. Chłop oddał jedynie resztę pieniędzy, które zostały mu z pożyczki, ale góra już nie wróciła na dawne miejsce. Do dziś pozostało po niej spore urwisko. Na zawsze pozostanie dowodem igraszek miejscowego chłopa z diabłami.

O ucieczce królowej Jadwigi

W ostatnich dziesięcioleciach XIV wieku nasz region, a szczególnie Biecz i okolice, często odwiedzała królowa Jadwiga. Nic więc dziwnego, że do dzisiejszych czasów zachowało się sporo pięknych legend związanych ze świętą królową. Warto przypomnieć sobie jedną z nich, bowiem bezpośrednio dotyczy ona terenów Ziemi Jasielskiej, a konkretnie Trzcinicy.

Na bieckim rynku od rana panował wielki gwar i radość. Po raz kolejny do „małego Krakowa" miała przybyć piękna i dobra wawelska Pani. Tę młodą, mądrą, bezgranicznie dobrą i śpieszącą z pomocą wszystkim potrzebującym, królową kochali i szanowali wszyscy. Szczególnie dużą sympatią, ba, niemal kultem otaczano ją w Bieczu.

Dlaczego? Ano posłuchajcie.

Kiedy wizytowała ona wówczas miejscowy szpital, dostrzegła biednego i nie opatrzonego, chorego starca. Na pytanie, dlaczego nikt się nim nie zajął, odpowiedziano, że od ropiejących strzępów i ran tak cuchnie, że nikt nie może mu usłużyć. Wtedy to królowa nakazała, aby podano jej odpowiednie środki opatrunkowe i zajęła się biedakiem. Skończywszy powiedziała, że wiele można uczynić, jeśli miłuje się Boga i bliskich. Na te słowa ów człowiek tylko się uśmiechnął i zniknął. Wszyscy pojęli, że stał się cud, a w postać biedaka wcielił się sam Jezus. Zebrani na czele z królową padli na kolana i długo się modlili. Wszyscy wpatrywali się w emanującą dobrocią i wiarą cudną twarz Jadwigi. Ujęła ich swym czynem i zdobyła ich serca.

Nic zatem dziwnego, że gdy święta Jadwiga po raz kolejny przybyła do swego ukochanego Biecza, wszyscy jego mieszkańcy wylegli na rynek by ją powitać. Oczekując przyjazdu miłościwej Pani kilku miejscowych kupców spierało się czego Pani ma więcej: piękności, bogactwa czy dobroci. W końcu doszli do zgody, że żadna z białogłów nie może się z nią równać, a w całym królestwie nie ma od niej piękniejszej, bogatszej, hojniejszej i o lepszym sercu.

Tymczasem królewski orszak zbliżył się do bram miejskich i rychło zajechał na rynek. Z karocy wyszła uśmiechnięta miłościwa Pani i poczęła witać się z ludem. Owacji na jej cześć nie było końca.

Następnie orszak składający się z licznej świty udał się na biecki zamek, który tradycyjnie był miejscem pobytu królowej. I tu przyjęto Jadwigę jak można najserdeczniej.

Jednak podczas wieczerzy przybył do zamku poseł z ważną wiadomością. Po krótkiej z nim rozmowie, Jadwiga powróciła do stołu zatroskana i blada. Okazało się, że nawet ona ma wrogów, którymi są nieprzychylni jej panowaniu, możnowładcy. Kiedy dowiedzieli się, że królowa przybyła do Biecza, postanowili niezwłocznie ją pojmać i zmusić do kolejnych przywilejów. Na czele połączonych oddziałów zbrojnych zbliżali się do miejsca pobytu Jadwigi.

Czas naglił. Każda zwłoka mogła się okazać tragiczna w skutkach. Zaufani dworzanie, obawiający się o życie miłościwej Pani gorączkowo dyskutowali, jak ją ratować. Do radzących nieśmiało podszedł jeden ze sług bieckiego zamku i zdradził im pewną tajemnicę. Otóż, jak się okazało, z zamku prowadził długi, podziemny tunel, który kończył się na wałach grodziska w Trzcinicy.

Królowa początkowo nie chciała uciekać. W końcu jednak dała się przekonać i w otoczeniu swych najbliższych dworzan opuściła zamek. Droga była bardzo uciążliwa. Palące się pochodnie, co prawda dawały dość światła, ale sterczące kamienie raniły stopy. Wiele czasu minęło i sporo potu wylano

zanim udało się wszystkim dotrzeć do grodziska w Trzcinicy. Po wyjściu z tajemnego tunelu mogli wreszcie odpocząć. Tu królowa była już bezpieczna. Zmęczona trudami podziemnej wędrówki podziękowała swym sługom i w cieniu rozłożystego drzewa zasnęła. Jakiś czas wawelska Pani przebywała w Trzcinicy, a gdy nadeszła pomoc powróciła przez Biecz do Krakowa.

Przed wyjazdem, na pamiątkę swego ocalenia ponoć kazała wybudować w Trzcinicy nowy, drewniany kościół.

A co z tajemniczym tunelem? Nie wiadomo. Mówiono, że rychło potem się zapadł, ale byli i tacy, którzy twierdzili, że przetrwał. Najstarsi trzciniccy gospodarze opowiadali, że kiedy jechali wozami konnymi po drodze prowadzącej na wały, spod ziemi słychać było dziwne dudnienie i echo uderzeń metalowych obręczy kół. Sprawiało to wrażenie, że rzeczywiście pod drogą znajduje się jakaś wolna przestrzeń. Może więc ten legendarny tunel do dziś naprawdę istnieje, a wały trzcinickiego grodziska kryją tajemne wejście...? Kto wie...

Ze Śmiercią na plecach przez Jasiołkę

Dawno wiekami w dolinie rzeki Jasiołki rozłożyła się wieś Roztoki. Jej nazwa pochodzi od wyrazu „roztoka", oznaczającego dolinę ze strumieniem. Nikt nie jest w stanie policzyć ile razy tereny wioski były niszczone przez wylewy Jasiołki.

Od niepamiętnych też czasów nad rzeką wznosi się kładka przez którą mieszkańcy Roztok kontaktowali się - i kontaktują się do dziś - z leżącymi po drugiej stronie rzeki Warzycami, Zimną Wodą i innymi wioskami.

Kilkadziesiąt metrów poniżej kładki znajduje się bród, zwany „przejazdem", przez który od dawien dawna przejeżdżają wozy konne oraz przechodzi bydło na pastwisko. W tym miejscu o kamiennym podłożu, gdzie woda sięga do kolan przechodzili przez rzekę i ludzie.

Mało kto już dziś wie, że przewożono tędy także i Śmierć.

Był ciepły, czerwcowy wieczór. Niebo rozświetlał księżyc i mnóstwo gwiazd. Od strony Warzyc w kierunku Roztok podążał szybkim krokiem młody człowiek. Był to mieszkaniec Sądkowej wracający od swego brata, który gospodarzył w Warzycach. Gdy zbliżał się do „przejazdu" na Jasiołce, zobaczył stojącą nad brzegiem postać kobiety ubranej w białą chustę okrywającą jej głowę i plecy. Była bardzo chuda i blada.

Kiedy mężczyzna zbliżył się do niej, ta spojrzała na niego przenikliwym, lodowatym wzrokiem. Rolnik choć należał do ludzi odważnych, struchlał ze strachu. Zdał sobie sprawę, że chyba ma do czynienia z istotą nie z tego świata. Mimowolnie cofnął się kilka kroków. Wówczas ta kobieta – zjawa przemówiła:

- Nie bój się człowieku! Przenieś mnie tylko przez rzekę na roztocką stronę!

Chłopisko tylko skinął głową, pochylił się i wziął kobietę na plecy. Doznał dziwnego chłodu i uczucia, że ta chuda, koścista osoba prawie nic nie waży. Gdy ją przeniósł na drugą stronę rzeki, kobieta na pożegnanie powiedziała:

- Idź już i nie oglądaj się do tyłu!

Mężczyzna ruszył przed siebie, ale ciekawość nie dawała mu spokoju więc zerknął do tyłu. Zobaczył, że jasna postać kobiety skierowała się w stronę jednej z pobliskich chat.

Kiedy dotarł do swego domu nikomu nie powiedział o tym, co go spotkało. Trzy dni później udał się znów przez Roztoki do brata w Warzycach. Było już po południu, gdy zbliżał się do rzeki. Nagle spostrzegł, że z chaty, do której udała się kiedyś jego tajemnicza znajoma, wynoszono trumnę. Niemal go zamurowało. Stał i patrzył jak formował się kondukt pogrzebowy. Kiedy jego uczestnicy przechodzili obok niego, w ostatniej chwili zdążył ściągnąć czapkę. Nie miał wątpliwości, trzy dni wcześniej na swoich plecach przenosił Śmierć.

Po kilku tygodniach, w czasie żniw, znów późnym wieczorem, znaną drogą wracał od brata. Był bardzo zmęczony. Przez cały dzień w słonecznym skwarze kosił zboże. Szedł do domu niosąc na plecach kosę.

Zbliżając się do brzegu rzeki, zza rosnącej tam wierzby wyszła mu naprzeciw znana mu już kobieta. Na czole rolnika pojawił się pot, serce łomotało mu z przerażenia.

- My się chyba znamy? – zapytała.

Mężczyzna cicho przytaknął.

- Dziś też przeniesiesz mnie na drugą stronę.

Zdenerwowany rolnik chciał mieć to już poza sobą, więc nie zwlekając wziął zjawę na plecy i udał się na drugi brzeg Jasiołki.

Kiedy kobieta zeszła z jego pleców był przekonany, że może już odejść. Tym razem jednak koścista niewiasta kazała mu towarzyszyć sobie w drodze do wsi. Nagle, niedaleko kapliczki,

kobieta – zjawa zatrzymała się, zabrała chłopu kosę i zniknęła. Po chwili wróciła, oddała kosę i powiedziała:

- *Dużo wody upłynie w Jasiołce zanim mnie spotkasz. Wtedy przyjdę po ciebie.*

Wypowiedziawszy te słowa blada postać kobiety rozpłynęła się. Mężczyzna szybko ruszył przed siebie. Tej nocy nie zasnął. Rankiem udał się do Roztok. Przeczuwał, że znów musiał ktoś umrzeć. Tak też było. Od znajomego gospodarza dowiedział się, że nocą nagle zmarł jeden z jego sąsiadów. Mieszkał tuż obok kapliczki.

Wracając do Sądkowej młody rolnik długo nie mógł dojść do siebie. Musiał się podzielić swą tajemnicą z rodziną i znajomymi. Okazało się, że nie był jedynym, który przenosił Śmierć nad roztocką Jasiołką...

Prawda i legenda o cudownej figurze Matki Bożej z Tarnowca

W tarnowieckim sanktuarium Matki Bożej Zawierzenia znajduje się cudowna figura Matki Bożej. Jak powszechnie wiadomo, dotarła Ona do Tarnowca przez Jasło z Węgier. Legenda głosi, że Matka Boska tak oburzyła się zachowaniem pewnego Madziara, który odważył się w świątyni, w której przebywała, zapalić fajkę, że przeniosła się siłą własnej woli do bardziej pobożnej Polski. Najpierw do Jasła, a stąd do Tarnowca, który odtąd ukochała.

Tyle legenda, prawdą jest jednak fakt, że w XVI wieku figura została sprowadzona z Węgier do klasztoru Ojców Karmelitów w Jaśle. Śladem Jej wędrówki jest do dziś cudowna kapliczka w lesie koło Mrukowej. Od czasu przybycia statuy do Jasła, ciągnęły doń pielgrzymki z różnych stron, z ziem polskich i zza granicy. Wielu ludzi doznało tu szeregu łask Bożych. Minęły z górą dwa stulecia. Końcem XVIII wieku Jasło ogarnął wielki pożar. Swymi płomieniami dosięgnął także i kościół karmelitański. I rzecz dziwna, a można rzec cudowna, wszystko wewnątrz niego spłonęło, a drewniana, wysuszona, polichromowana figura ocalała!

Pomimo smutku z wielkiej pożogi, ludność regionu radowała się z faktu ocalenia świętej statuy, którą przeniesiono na krótko do miejscowej Fary, a następnie do kościoła w Tarnowcu. Był to dowód, że Matka Chrystusowa pod postacią figury pragnie pozostać na stałe na Jasielskiej Ziemi.

Były to czasy rozbiorów. I z tym okresem wiąże się kolejna legenda związana z cudowną figurą.

Nadszedł zimowy, mroźny wieczór. Tarnowiecki proboszcz zamknął drzwi plebanii i w towarzystwie starego kościelnego zasiadł przy kominie, na którym płonął ogień. Obaj zadumali się. Smutek zasępił ich oblicza. Po dłuższej chwili milczenia proboszcz rzekł:

- *Co zrobić, żeby nie dopuścić do oddania cudownej figury? Austriaccy urzędnicy już tydzień temu przysłali kolejne upomnienie i w ostrej formie żądają jej przeniesienia do Dukli. Inaczej sami przyjadą po nią.*
- *Wiecie, co księże proboszczu. Tak myślę i myślę, co ta nasza Matka Boska im zawiniła, że Ją nam chcą zabrać?*
- *Widzicie Józefie, dla nich bardzo niewygodnym jest fakt, że przed naszą figurą zbiera się coraz więcej wiernych Polaków, wznosi modły i śpiewa pieśń „Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie!". Wiedzą, że wiara i kult dla Maryi bardzo wiąże Polaków. Stąd czerpiemy moc i siłę do oporu przeciw zaborcom.*
- *To my z chłopami postawimy kosy na sztorc i nie dopuścimy do zabrania naszej Panienki i Dzieciątka.*
- *Mój stary przyjacielu, to nic nie da. Oni mają wojsko, policję, więzienia. A my? My powinniśmy się tylko pomodlić. Cała nadzieja w Maryi.*

Józef tylko pokiwał głową i dorzucił drew do ognia. Zegar ścienny wybił północ.

- *Czas iść spać. Dziś już nic nie wymyślimy* - rzekł proboszcz - *Ja jeszcze idę się pomodlić.*

Rankiem obu mężczyzn zbudziło walenie do drzwi. Ksiądz proboszcz je otworzył. Przed nim ukazało się kilku żołnierzy w austriackich mundurach. Dowiedział się od nich, że przybyli po figurę. Proboszcz ze smutkiem poprowadził ich dowódcę w kierunku kościoła, gdzie w kaplicy stała zdjęta na rozkaz władz austriackich statua Matki Bożej.

Z wozu zaprzężonego w dwójkę siwych koni zeszło dwu żołnierzy. Oficer wskazał im figurę i polecił przenieść ją ze świątyni i załadować na wóz. Dwaj rośli młodzieńcy pochylili się

w celu podniesienia niezbyt ciężkiej rzeźby. Ta jednak ani drgnęła. Zdziwili się, po czym powtórzyli próbę. I znów na nic. Dowódca wezwał więc dwóch pozostałych żołnierzy i nakazał im, aby pomogli kolegom. Przybyli zaczęli sobie żartować z nich, że nie mogą poradzić sobie z lekką, drewnianą figurą. I znów powtórzył się ten sam scenariusz. Czterech silnych, młodych ludzi nie mogło oderwać figury od posadzki. Statua sprawiała wrażenie jakby była doń przyrośnięta. Jeden z żołnierzy w odruchu zdenerwowania chwycił za stojący obok łom i jego koniec podłożył pod figurę. Na nic, ani drgnęła. Nie wierząc swym oczom, do statuy podszedł oficer. I jego wysiłki okazały się zbyteczne.

Zrezygnowani i przestraszeni żołnierze rozłożyli jedynie ręce i czekali na decyzję dowódcy. Ten po chwili zadumy, bez słowa kazał im wsiąść na wóz, sam przeżegnał się i dał rozkaz do odjazdu. Jeszcze przez jakiś czas z przejęciem przyglądał się cudownej figurze, po czym wsiadł na wóz i odjechał z oddziałem.

Jak mówi legenda, świadkami tego wydarzenia było kilku mieszkańców Tarnowca, którzy uznali je jako swoisty cud. Tym bardziej, że wkrótce po wyjeździe Austriaków, bez problemu wnieśli figurę do kościoła. Był to dowód, że Matka Boża chce być z nimi na tarnowieckiej ziemi i na dobre i na złe...

O właścicielach „grodu żmii”

W herbie Nowego Żmigrodu znajduje się żmija. Nie bez powodu, gdyż jedna z legend mówi, że nazwa tej starej miejscowości pochodzi właśnie od potężnego legowiska żmij, jakie drzewiej znajdowało się w miejscu, gdzie następnie wzniesiono gród.

Inna opowieść pochodząca z tamtych okolic wyjaśnia tę kwestię nieco inaczej. Otóż wywodzi ona nazwę miasteczka od jego właścicieli, rodziny magnackiej Stadnickich, która znana była ze swego okrucieństwa i czynów krzywdzących mieszczan i chłopów, a nawet okoliczną szlachtę. Przez to była przez wielu nazywana „żmijami” lub „rodem żmij”, a ich zamek i miasto określano określano mianem „grodu żmii”.

Faktem jest, że w połowie XV wieku Żmigród przeszedł w ręce Stadnickich. Wówczas to podkomorzy i dworzanin królewski Mikołaj ze Stadnik ożenił się z Katarzyną ze Żmigrodu, która wniosła mu w wianie kilka sąsiednich wsi. Przez następne dziesięciolecia Stadniccy zgromadzili w swych rękach kolejne włości. Po około stu latach byli właścicielami około dwudziestu miejscowości rozrzuconych wzdłuż Wisłoki i jej dopływów.

Ród Stadnickich był bardzo liczny. Wywodziło się zeń sporo indywidualności, w tym wielu bohaterów negatywnych. Jak choćby słynny warchoł, awanturnik i rokoszanin, Stanisław Stadnicki, którego powszechnie zwano Diabłem Łańcuckim. Innym znanym przedstawicielem tej rodziny był Samuel Stadnicki, który końcem XVI wieku został nawet wysunięty jako kandydat do tronu polskiego.

Ale wróćmy do właścicieli Żmigrodu i do czasów kiedy chciwe i zachłanne „żmije żmigrodzkie” zaciskały coraz węższą

pętlę na szyjach swoich poddanych. Stadniccy zmuszali ich do ciężkiej pracy pańszczyźnianej, obciążali podatkami, a nawet celowo rozpijali w swych karczmach, celem wyciągnięcia od nich ostatniego grosza. „Żmije" były okrutne, brutalne i niezwykle surowe. Za najmniejsze próby oporu przed ciągle zwiększanymi powinnościami oraz za zbiegostwo i zbieranie płodów leśnych, chłopi byli przez nie batożeni, bici, zakuwani w dyby i więzieni. Niejednokrotnie zabierano im też dobytek.

Panujący wówczas na Żmigrodczyźnie Stadnicki był człowiekiem szczególnie uwielbiającym awantury, otoczonym ślepo oddaną mu bandą warchołów i pachołków. Kto się mu sprzeciwił, ten rzadko uchodził cało. Dokonywał najazdów na sąsiadów, a jego ludzie napadali też na karawany kupieckie. Te gwałty i rabunki uchodziły mu bezkarnie. Na próżno kobiety z okolicznych wsi wylewały łzy, a mężczyźni zaciskali bezradnie pięści.

W owych smutnych czasach wiele udręki z rąk Stadnickich doświadczyli przedmieszczanie z Osieka. Na przestrzeni kilku dziesięcioleci XV i XVI wieku „żmije" bezprawnie zabrały im dużą część gruntów pod folwark. Kiedy oszukani i poszkodowani zaprotestowali i interweniowali u samego króla, „Żmija" ukarał ich więzieniem, biciem i zmusił do odrabiania pańszczyzny. Nawet interwencja królewska na nic się nie zdała. Stadnicki był tu panem i basta!

Niewiele lepsi byli jego następcy w XVII wieku. Ich włości, a w szczególności znów Osiek, były widownią kolejnych gwałtów. Kto stawiał nawet niewielki opór był tępiony. Pachołkowie żmigrodzcy na rozkaz ich srogiego pana niszczyli takim ludziom zbiory, przeszkadzali w pracy, bili, batożyli i więzili. Niepokornych przedmieszczan i mieszczan osieckich, których starali się sobie podporządkować i zmusić do uległości oraz ciężkiej harówki na swych polach, Stadniccy kilkakrotnie najeżdżali, bijąc i poniżając. Nie było litości ni dla kobiet, ni dla starców i dzieci.

I znów oddajmy głos legendzie. Był mroźny, niedzielny poranek. W kościele osieckim odbywała się właśnie msza poranna, w której jak zwykle uczestniczyła większa część mieszkańców miasteczka. Naraz uszom - stojących bliżej drzwi wejściowych - wiernych dał się słyszeć tętent kopyt końskich. Wielu kopyt. Tętent ten zbliżał się i zbliżał. Ziemia od niego drżała coraz mocniej. Wreszcie na rynku miasteczka pojawił się oddział składający się z wielu jezdnych. Jak się okazało, byli to żołdacy Stadnickich, wszyscy uzbrojeni i groźnie pokrzykujący.

Gdy podjechali pod kościół zsiedli z koni i nie zważając na odprawianą mszę świętą jęli wyciągać z wnętrza świątyni mężczyzn i kobiety w różnym wieku, jak popadło. Przy wtórze płaczu dzieci i kobiet oraz wrogich okrzyków napastników, tych kilkanaścioro nieszczęśników pobito i obrzucono niewybrednymi obelgami.

Podobne incydenty miały miejsce na Żmigrodczyźnie w tamtych czasach często. Na koniec można sobie zadać pytanie: czy zasadne było nazywanie Stadnickich „żmijami"?
Legendy i liczne fakty historyczne zdają się to w dużej mierze potwierdzać.

Wykorzystana literatura:

1. *W. Fusek: Biecz i dawna ziemia biecka na tle swych legend, bajek, przesądów i zwyczajów. - Biecz, 1998*
2. *W. Hap: Władysław Chajec // Rocznik Jasielski. - T.IV (1999), s.149-155*
3. *W. Hap: Ziemia jasielska naszą małą ojczyzną. - Jasło, 1998*
4. *A. Karczmarzewski: Podania i legendy z terenu Małopolski Południowo - Wschodniej. - Rzeszów, 1981*
5. *F. Kotula: Opowieści ziemi z dorzecza górnej Wisłoki i Wisłoka. - Rzeszów, 1975*
6. *F. Kotula: Po Rzeszowskim Podgórzu błądząc: reportaż historyczny. - Kraków, 1974*
7. *A. Pabis, T. Pabis: Ziemia gorlicka na tle legend. - Libusza, 2000*
8. *J. Pawluś: Krempna i okolice. - Jasło, 1997*
9. *W. Sarna: Opis powiatu jasielskiego. - Jasło, 1908*
10. *T. Ślawski: Biecz: zarys historyczno - krajoznawczy. - Biecz, 1996*
11. *E. Wojtuń: Piotr Wenc: pisarz ludowy ze Święcan. - Skołyszyn, 1997*

Ponadto w opracowaniach wykorzystano relacje i opowiadania osób starszych, m.in. Marii Hap z Sądkowej.

Zebrała i opracowała:
Lidia Witkowska

Dół w Lesie Warzyckim

Starsi ludzie z Warzyc znają i opowiadają pewną tajemniczą historię związaną z dołem znajdującym się w miejscowym lesie. Według ich relacji rzecz miała się następująco.

Było to bardzo dawno temu. Wawrzyniec Bachman pan wsi Warzyce, zakochał się w pięknej chłopce o imieniu Zosia. Długo ją uwodził i rozkochiwał w sobie, aż dziewczyna zapomniała o całym świcie i przeniosła się do jego domu. Zamieszkali razem, co wywołało zgorszenie znacznej części ludzi ze wsi. Zosia nie interesowała się opinią wioski, ale w pełni korzystała z uroków pańskiego życia. Czuła się z tego powodu lepszą niż pozostałe dziewczęta ze wsi i wysoko nosiła swą uroczą główkę. Wiodąc życie jak w bajce, zapomniała o swojej przeszłości, krewnych i rodzinie. Matka Zosi opuszczając padół ziemski wymusiła na niej obietnicę, że zajmować się będzie młodszym rodzeństwem. Dziewczyna jednak zapomniała o nich, zostawiając brata i siostrę na pastwę losu i zmiłowanie sąsiadów. Wawrzyniec nie mógł ożenić się z Zosią, bo nie miał na ten związek błogosławieństwa swoich rodziców. Państwo Bachman przebywali poza granicami Warzyc od dłuższego czasu i o romansie swego jedynaka nie mieli pojęcia. Wiadomym był jednak od początku fakt, że nigdy nie wyrażą zgody na małżeństwo ich syna z chłopką. Kiedy zbliżał się czas powrotu rodziców, Wawrzyniec poprosił Zosię by wróciła do swojego rodzinnego domu. Obiecał jej, że rozmówi się z nimi, poprosi o zgodę na ślub i błogosławieństwo, a kiedy się pobiorą znów zamieszkają razem. Jeszcze wtedy

Wawrzyniec nie wiedział, że nie dotrzyma ani jednego danego słowa, a obietnice spełzną na niczym. Rodzice po powrocie do domu, przekazali mu wiadomość, iż znaleźli dla niego odpowiednią pannę za żonę.

Narzeczona, którą mu rodzice wybrali, okazała się być niezwykle urodziwą kobietą. Przy pierwszym spotkaniu młodych doszło do absolutnego oczarowania. Wawrzyniec zapomniał o Zosi, a swej nowej wybrance przysiągł miłość i oddanie. Składał nawet obietnice.

W dzień ślubu młodego Bachmana Zosia utopiła się. Nie mogła dłużej żyć ze świadomością, że została tak okrutnie oszukana i wykorzystana. Z drugiej zaś strony ludzie ze wsi dokuczali jej, wyśmiewali i odwracali głowy na jej widok.

Wesele obchodzono we dworze bardzo huczne, ale centralne uroczystości zaślubin odbyły się w domu panny młodej. Wieczorem wszyscy weselnicy z Warzyc wracali razem z nowo-rzeńcami do wioski. Kiedy jechali przez las, stała się rzecz dziwna... Ziemia rozwarła się na kształt paszczy i pochłonęła wszystkich weselników. Pozostał po tym zdarzeniu głęboki dół w lesie. Starsi ludzie powiadają, że drzewa rosnące w tej okolicy, szumią złowrogo nawet wtedy, gdy nie ma wiatru. Być może, że jako bezpośredni świadkowie całego zdarzenia próbują ostrzegać przygodnych wędrowców przed niebezpieczeństwem, które tu może zawsze na nich czyhać.

Zebrała i opracowała:
Lidia Witkowska

Opowieść warzycka

Dawno, dawno temu na plebanii przy warzyckim kościele żył sobie ksiądz, którego opętały diabły. Duchowny ten był w posiadaniu tajemniczej księgi z zaklęciami, które pozwalały na wzywanie diabłów. Zamiast zajmować się modlitwą i wypełniać swe obowiązki, ksiądz nocami obcował z szatanem.

Zdarzyło się pewnego dnia, gdy ksiądz odprawiał mszę w kościele, że gosposia znalazła w pokoju tę dziwną księgę. Nieświadoma tego co zawiera, otworzyła ją i w tej samej chwili wokół niej zaroiło się od diablików. Kobieta kazała biesom ugotować i posprzątać. Diabły szybko uwinęły się z robotą i czekały na zapłatę w postaci duszy nieszczęsnej niewiasty. Zdesperowana gosposia nie chciała poddać się diabłom i sprytnie wymyśliła następne zadanie dla lucyperków. Otóż jak wieść niesie poleciła im wykopać trzy stawy w okolicy plebani, napełnić je wodą z morza, którą diabły miały nosić w sicie. Dla człowieka było to zadanie niezwykle trudne, niemożliwe do zrobienia, ale dla diabłów okazało się być fraszką. W mgnieniu oka w pobliżu plebani powstały błękitne oczka trzech stawów i pewnie biedna gosposia, która nie znała zaklęć, aby się pozbyć nieproszonych gości znalazła by się w poważnych kłopotach, gdyby na plebanię nie powrócił proboszcz. Będąc z diabłami za pan brat szybko przywołał je do porządku. Dusza księdza była dla nich o wiele cenniejsza niż prostej kobieciny. Diabły nadal pozostały na usługach leniwego i rozpustnego księdza. Niestety nie był już jedynym wtajemniczonym, a gosposia lubiła sobie

często pogawędzić. I tak jak to zwykle bywa w wielkim sekrecie zdradziła tajemnicę innym kobietom ze wsi. Lotem błyskawicy sekretna i poufna wiadomość obiegła całe Warzyce. Wśród bogobojnych i prostych wieśniaków zapanował strach. A ksiądz? Wpadł na następny plan, aby rękami diabłów wybudować nowy kościół.

Wezwał więc całą diablą ekipę i polecił im zająć się budową karczmy w pobliżu starego kościoła. Biesy z ochotą zabrały się do pracy świadome, że w tej karczmie złowią sporą ilość ludzkich duszyczek w przyszłości. Zamiast do kościoła będą ludzie chodzić do karczmy. Radość szatana nie miała granic, lecz gdy karczma była prawie skończona wyszło na jaw oszustwo proboszcza. To co miało być karczmą przypominało z lotu ptaka swoim wyglądem krzyż. Złość biesów była ogromna i postanowiły zniszczyć budowlę. Nocą, kiedy diabelska siła nie zna granic, wyrwały z ziemi ogromny głaz i frunęły z nim do Warzyc. Nie starczyło im jednak mocy do zrealizowania planów, bo gdy zapiał kur do celu było jeszcze kilometr. Osłabione diabły wypuściły z rąk kamień nad warzyckim lasem.

Kościół pozostał a zgubiony kamień, zwany „diabelskim" do dzisiejszego dnia leży w lesie. Porósł mchem.

Literatura:
W. Sarna, Opis powiatu jasielskiego, Jasło 1908

Zebrała i opracowała:
Helena Pejko

Kurpiel

Święcany są wsią bardzo rozległą, składają się z wielu przysiółków położonych na dole i na górze, bo teren jest pagórkowaty. Stąd wywodzą się nazwy: Nadole i Nagórze. W dawnych czasach rosły tu lasy, a właściciele dóbr urządzali polowania na dzikiego zwierza. Z organizowaniem polowań wiążą się nazwy niektórych przysiółków, a i ciekawe historie wokół tego narosły.

Centrum wsi stanowił dwór, stąd myśliwi przechodzili przez Psiny, gdzie hodowano psy wykorzystywane do polowań.

W miejscu zwanym do dziś Wymyśle obmyślano plany łowów. Następnie na małej polanie Kręgi zwaną rozdzielali się i okrążali Wilcze Doły, gdzie w niedostępnych paryjach wilki i dziki swe legowiska miały. Po skończonym polowaniu, myśliwi zbierali się na wielkiej polanie zwanej Pogwizdów, skąd zwoływali się trąbką i gwizdaniem przed powrotem do domów.
Ciekawa legenda wiąże się z nazwą przysiółka Kurpiel.

W miejscu tym, gdzie obecnie znajduje się ten przysiółek – we wsi Święcany znajdował się ogromny las. Wiekowe drzewa i gęste poszycie leśne broniły wstępu do kniei. Teren przy tym był nierówny, poprzecinany parowami, wzgórzami i sączącymi się leniwie potoczkami. Wiodła tamtędy droga ze wsi Święcany w kierunku Biecza. Jeżeli ktoś z niej zboczył, łatwo mógł zabłądzić.

Okoliczni mieszkańcy najbardziej bali się wilków, które zwłaszcza zimą, w czasie szybko zapadającego zmierzchu były

prawdziwym zagrożeniem dla spóźnionych podróżnych. Nawet jadący furmanką obawiali się ich ataków.

Wilki zwoływały się przeciągłym wyciem, a ośmielone swoją liczebnością i głodne, zastępowały drogę podróżnym. Konie, wyczuwając niebezpieczeństwo, cicho rżały. Zdarzało się, że spłoszone pędziły na oślep, a na leśnych wertepach łamały nogi i stawały się łatwym łupem dla zgłodniałych napastników. Furmani dla odstraszenia wilków w takiej sytuacji, zapalali na drodze przezornie zabraną wiązkę słomy lub siana.

W znacznie gorszym położeniu od woźniców byli piesi podróżni, nie znający tych okolic.

Często przychodzili do Święcan Łemkowie – aby tu od chłopów kupić bydło. Przychodząc w ciągu dnia, wypatrywali warkoczy dymu z kominów chałup rozrzuconych wśród lesistych pagórków.

Podanie głosi, że jeden z takich kupców zatrzymał się we wsi dłużej niż zamierzał. Chciał dojść do Biecza przed nocą i udał się na skróty przez las. Nie posłuchał ostrzeżeń chłopów o niebezpieczeństwie ataku wilków. Było przedwiośnie i w lesie zalegał jeszcze śnieg. Wędrowiec, pokonując ciężką drogę, zabłądził w zapadającym zmroku i został napadnięty przez wilki. Wiosną, kiedy śnieg stopniał, miejscowi znaleźli w lesie tylko but. Domyślili się, że nieszczęsny podróżny stał się łupem wygłodniałych wilków.

W tych okolicach buty nazywano kierpcami lub kurpielami. Stąd prawdopodobnie, wywodzi się nazwa przysiółka Święcan – KURPIEL – używana do obecnych czasów.

Według opowiadania Stefanii Mikrut
opracował: Bogusław Mastej

O dębach Świętej Trójcy

W lesie Buczyna, w Niegłowicach, rosną dwa bardzo stare dęby. Ludzie mówią, że mają one po 300 lat, a może nawet po 400 lat. Przed wielu laty jakiś pobożny człowiek przymocował na jednym z tych dębów drewnianą kapliczkę, a w niej obraz Św. Trójcy, na miedzianej blasze malowany. Przechodnie przystają tam, aby odmówić modlitwę... I tak było do czasu pierwszej wojny światowej, kiedy to wrogie wojska po wielokroć tratowały i niszczyły nasze ziemie.

Wtedy to, pewnego dnia, grupa konnych, pijanych Kozaków zapędziła się w okolice dębów, a dojrzawszy na pniu drzewa kapliczkę, poczęła hałastra, żołdackim obyczajem, stroić sobie kpiny i nieprzystojnymi bluźnierstwy Święty Obraz obrzucać. Kiedy zaś i tego było im za mało, jeden z nich – być może przywódca – w wysoką, futrzaną czapę ubrany, zdjął z pleców karabin, zarepetował i w sam środek obrazu wypalił!

A wtedy stała się rzecz straszna i niepojęta! Miejsce na obrazie, w które uderzyła bluźniercza kula, zabłysło nagle krwawą czerwienią, jak rana na żywym ciele, trysnął zeń strumień krwi i dużymi kroplami ściekał po korze dębu, barwiąc rubinami szmaragdowy mech u podnóża drzewa. Zaś niefortunny strzelec złapał się za czoło i wraz z koniem runął martwy na ziemię, a jego towarzysze uciekli w popłochu.

Kiedy zaś nastał wieczór tegoż dnia, zachmurzyło się nagle niebo i wybuchła straszna burza z piorunami. A koło dębów coś

się okropnie kotłowało, rogate maszkary przelatywały na nietoperzowych skrzydłach i chichotały przeraźliwie.
To diabły z piekła przyleciały po duszę obrazoburcy i wraz z grzesznym ciałem i koniem poniosły do piekła na wieczne męki. A czerwony ślad po kuli można zobaczyć aż do dzisiaj!

Według opowiadania Stefanii Mikrut
opracował: Bogusław Mastej

Jak „Żurowa" została „Żurową"

To były bardzo dawne czasy, może nawet jeszcze dawniejsze od tych, kiedy to Tatary na żurowskich polach wodza swojego pogrzebały i usypały mu kurchan. Wsi to tu, po prawdzie jeszcze nie było, ino chałup może z pięć, a może nawet i osiem za ruczajem se ludzie postawili. Ale już nawet i wtedy chłopy tutejsze z bednarskich talentów na okolicę daleką słynęli, a o ich beczki, faski, putnie i konwie ubijali się ludziska na targach w Jaśle i Tuchowie. A, że każdy dobry majster przy robocie dobrze podjeść lubi, to i ichnie baby za kuchareczki przednie zawdy słynęli.

W takich też to czasach zaszedł w południowej porze do jednego bednarza ubogi „pochodzaj", jak w niektórych stronach wędrowców nazywano, i o gościnę poprosił. Bednarz zamożny był i nieskąpy, toteż wnet pochodzaja do stołu poprosił, gdzie właśnie gospodyni miskę żuru ze skwarkami i grzybami postawiła. Żur bardzo gościowi posmakował, a że nigdy przedtym takiej potrawy nie kosztował, więc zapytał, jak się ona nazywa, a kiedy już gościnny dom pożegnał, żeby tej nazwy nie zapomnieć, powtarzał sobie w marszu: „Żur-żur, żur-żur"!

Ale, kiedy przyszło mu przebyć bród na strumyku, spadła mu do wody czapka, a gdy ją w bystrym nurcie łapał, zapomniał przy tym nazwy „żur" i żałośnie wykrzyknął:
- *„Oj, zgubiłem to dobre, zgubiłem!"*

Przechodzące akurat koło niego do pola baby pomyślały, że zgubił coś w strumyku i weszły do wody, aby mu pomóc w szukaniu. Ale nic nie znalazły, tylko bardzo zmąciły wodę.
Wtedy jedna zawołała:
- *„Eeee, kumy, nic już nie znajdziemy, bo woda mętna, jak żur!”*
Kiedy to posłyszał pochodzaj, wrzasnął radośnie:
- *„Oj, to, to! Żur, żur, żur!”*
Na to baby wybuchnęły śmiechem, a jedna powiedziała:
- *„No, śmiech śmiechem, ale kiedy u nas taki dobry żur gospodynie gotują, to niech ta nasza wieś od dziś nazywa się Żurowa!...”*

No i tak już do naszych czasów zostało.

Według opowiadania Konstancji Bajorek
opracował: Bogusław Mastej

Jantóś z Toczka

Był ci, dawno temu, jeden taki chłop w Załężu, co na chrzcie świętym Antoni mu na imię dali, a jak był jeszcze malutki, to mama wołali na niego „Jantóś". Ludziom we wsi tak się to podobało, że już inaczej jak Jantóś na niego nie wołali, choć chłopisko urosło, a i żonaty od dawna był. Tyle tylko, że do swego patrona świętego nic się nie podał, bo pijak z niego był wielki i co tylko w chałupie było, to u Żyda w Karczmie przepijał, a babę swoją potem bił, ile wlazło.

Aż tu razu pewnego uchlał ci się ten Jantóś okropnie, że na oczy już mało co widział. Ale jemu wciąż tej gorzałki było mało, a że Żyd borgować mu nie chciał, to wyskoczył Jantóś przed karczmę i samego diabła wołać zaczął, żeby mu pieniędzy na wódkę pożyczył! Diabeł, jużci, był tam gdzieś blisko. Jantósiowi się objawił i tak mówi:

- *Pieniędzy ci pożyczę, czemu nie! Ale przy sobie nie mam...*
- *A gdzie masz?* – pyta Jantóś – i za diabłem lezie, jak omamiony.
- *Mam schowane na Toczku* – mówi diabeł – *chodź ze mną do Toczka, to ci dam... I jeszcze garniec wódki postawię!*

A Toczek to było takie miejsce na rzece Wisłoce, gdzie pod wysokim, urwistym brzegiem woda po stromej bystrzynie toczyła się z wielkim szumem i pianami, i do takiej głębiny strasznej wpadała, gdzie woda chłopa na koniu, z podniesionymi rękami całkiem kryła. A było to prawie w pół drogi, co od Załęża do Markuszki wiodła. Mało też który chłopak odważył się

na Toczku konia pławić, choć prawie każdy jak ryba pływać potrafił, jako, że nad Wisłoką wychowani byli.

No, to poszedł Jantós z diabłem do Toczka, a kiedy już nad urwistym brzegiem stanęli, wyciągnął diabeł flachę gorzałki spod brzegu i na samym skraju, tuż-tuż nad Toczkiem postawił.

- *Masz tu, Jantós* – powiada diabeł – *napij się, a ja po pieniądze, tu do jednej ino dziury skoczę!* – I znikł!

Jantós też zaraz do wódki skoczył, ale już jej nie dostał. Brzeg przez wodę podmyty urwał się pod nim i Jantós w najgorszą głębinę chlupnął. Zaraz go też wiry wodne złapały, na dno wciągły i ślad po nim zaginął. I tylko diabeł pod brzegiem rżał z wielkiej uciechy, jak stare konisko.

Od tego czasu nikt się na Toczku kąpać nie odważył, bo spod wody wysuwała się śliska, zimna ręka i śmiałków pod wodę wciągała. Niejeden też się tam potem utopił, a choć chłopy ciał osękami szukali, to żadnego nie znaleźli.

Widywali też ludzie, którym tamtędy w księżycowe noce przechodzić wypadało, jak w pienistym nurcie Toczka kąpie się i pluska zielonkawy topielec, z flaszką wódki w ręku, wołając przerażonych przechodniów do kąpieli. Nazywali go wszyscy: „Jantós z Toczka”!... A kto go widział, to przez siedem dni nie mógł się potem w Wisłoce kąpać, bo choćby tylko po kostki do rzeki wlazł, to się zaraz utopił!

Według opowiadania nieznanego Łemki
opracował: Bogusław Mastej

Diabli kamień

To było downo, barz downo... Tak downo, że i nojstarse ludzie tego nie pamiętają! Bo i babka Polusia, co to po prośbie chodzą, to przecie juz i uoni w ciekielskim kościele byli krzceni. A jem to wiency jak sto roków ludzie dajom...

Tak to wtedy, co jo godom, kościoła blisko Folusa nikaj nie było, z cego diobliska rozmaite barz sie radowały, ze to dzwonów słychać nic nie było. Bo te diobły, to uony uod tego poświęcanego dzwonienio straśny kolki pod ziobrami dostajom i w dyrdy do piekła uciekać musom!

A diobły po foluskich lasach i paryjach to siedziały rozmaite: i Belzebuby, i Asteroty, i Belnijale. Uony na ludzkie duse nojbardzi zajadłe były i tak do grzychu kusiły, ze jak sie ino wiecór zamrocyło, to i strach było do pola z choupy wychodzić. Ale dlo bydła to znów najgorsy był diobuł Rokitny, co w starych wierzbach za dnia siedziol, zaś nocom lotoł po paświskach i na trowe pierdzioł. Potem uod ty diobelski bździny bydło i uowce chorowały i zdychały. Ino kozom to nic nie było, bo uony to diobelskie kumy!

No to wzieni sie ludziska do rady i umyślili se kościół w Cieklinie wystawić, a na dzwonnicy powiesić dzwony z poświęcanego śrybła. Zaprzongli kuonie, nazwozili pieknych kamieni, cegły, descek wopna, piochu, a dzwony to jaz dziesi uod Psemyśla w uosiem kuoni wieźli. Tak i kościół rychło piekny stanął i cekali ino na księdza, zeby poświęcił i dzwonami zadzwonić kozoł.

Puomiarkowały diobły, ze źle z niemi i poleciały do takiego nojstarsego, co to dziesi jaz na Siedmiogrodzie siedzioł i krew ludzkom co nocy śklonkami chloł. Ten ci sie pazurami w łeb podropoł i tak godo:

- Niech ten co najmocniejsy bierze z moich gór wielgi kamień, niech do Cieklina niesie i na kościół ciśnie, to go rozwali i bedzie spokój. Ino zeby ten kamień doniósł, zanim pirszy kogut zapieje, bo wtedy cołkom diobelskom moc straci!

No to chycił nojmocniejsy diobuł ten kamyń i niesie. Śpieszy się dioblisko, gackowemi skrzydłami furcy, zeby ino przed kogutowem pianiem przylecieć i kościół rozwalić! Pilno mu było, ze rety! Ale jak juz do Folusa dolatywoł, to uźroł go stary szewc, co mu kościoła w nocy pilnować kozały. Ten uod razu zmiarkował, co sie świenci i uznoł, ze jest barz źle, bo diobuł z kamyniem blisko, a tu ci jesce noc i koguty co do jednego w kurniku śpiom! Cóz było robić? Casu na dumanie nie było. Chycił cimój szewc uostre, wielgie szydło, do kurnika polecioł i najwienksego koguta ciach szydłem prosto w dupe! Kogut się uobudził, zapioł, jak głupi, a diaboł zaroz moc stracił i kamyń mu z pazurów prosto do foluskiego lasa wylecioł. A tak ci uo ziemie bachnoł, ze na pore kawołków sie rozpękł.

Rano ksiądz kościół poświęcił, dzwony zadzwoniły, a diobły do piekła w dyrdy pouciekały. I tak juz do dzisiok uostało... A jak ta ten Diobli Kamyń pódziecie uopatrywać, to sami uwidzicie, jak to całki uod diablich pazurów jest podropany.

Opracowała: Agnieszka Adamik
uczennica Szkoły Podstawowej Nr4
w Jaśle

Skąd wziął się miecz w ruinach zamku w Mrukowej

Dawno, dawno temu, za górami, za lasami żył sobie król Mruk. Nie urodził się on jednak w królewskim pałacu, tylko był synem ubogiego chłopa. W dniu jego urodzin przyszedł na świat również syn króla. W ten dzień władca wygnał z zamku swego nadwornego maga, bo myślał, że ten czyha na życie małego królewicza. Czarownik mszcząc się, obmyślił sprytny plan.

Tej nocy mag przechodząc przez pobliską wioskę usłyszał płacz małego dziecka. Było ono bardzo podobne do małego księcia. Porwał dziecko biednego chłopa, a na jego miejsce podłożył królewicza. Do pięknego łóżeczka dziecka znajdującego się w pałacu królewskim włożył małego, ale niejadowitego węża, a w chacie, na wiązce siana, gdzie teraz leżał mały królewicz zastawił mały sztylet. Syn chłopa w pięknym pałacu wyrósł na grubego, brzydkiego i głupiego młodzieńca, za to książę był wysoki, szczupły i mądry. Nadano mu imię Mruk, choć wcale nie pasowało ono do niego. Mały sztylet powiększał się z każdym rokiem jego życia, aż zrobił się z niego piękny miecz wykładany na rękojeści drogocennymi kamieniami.

Gdy Mruk wyrósł na uroczego młodzieńca, ożenił się z księżniczką Magurą. Kilka tygodni po ich weselu na zamek napadli Tatarzy. To ich wódz zemścił się za to, że księżniczka Magura odrzuciła jego zaloty.

Mruk bronił się przed nimi mieczem otrzymanym od czarownika. Gdy wypadł mu z ręki, Tatar przebił mu nim serce. Magura długo go opłakiwała i kazała pochować Mruka razem z mieczem.

Podobno w ruinach zamku w Mrukowej jest miecz, a tych, co go próbowali odnaleźć, od dawna nawiedza duch Mruka.

Opracowały:
Paulina Burek
Anna Myśliwiec
Dominika Sajdak
uczennice Gimnazjum Nr2
w Jaśle

Waleczny Spytko ratuje bliskich

Dawno, dawno temu, w połowie drogi między dzisiejszym Jasłem a Bieczem, nad rzeką, była sobie niewielka osada. Jej mieszkańcy byli ludźmi przyjaźnie nastawionymi do sąsiadów. Trudnili się rybołóstwem, uprawą roli oraz polowaniem na dzikie zwierzęta, których w okolicznych lasach nie brakowało. Cechą, która charakteryzowała tę miejscowość było to, że brzegi rzeki, oraz jej liczne rozlewiska porastała trzcina. Służyła ona jako materiał do pokrywania dachów chat i umocnień obronnych. Stąd też tubylcy nazywali początkowo swe siedlisko Trzcianką a później Trzcinicą. Wodzem tej osady był mądry, a zarazem silny jak tur Spytko. Potrafił wziąć na plecy swego rumaka i podnieść go do góry.

Gdy zbliżała się zima, późną jesienią, mężczyźni jak każdego roku wyruszyli na wielkie łowy, aby poczynić zapasy żywności. Uzbrojony w łuki, włócznie i miecze, oddział wojowników, pod dowództwem Spytka wyruszył na południe. Tam to, na rozległych górzystych terenach można było upolować dorodne jelenie, sarny, dziki lub kozice. Łowy przebiegały pomyślnie. Łupem myśliwych stało się mnóstwo zwierząt. Dzięki temu pozyskano wiele mięsiwa, skór i kości do wyrobu drobnych narzędzi i ozdób.

Gdy nazajutrz mieli udać się w drogę powrotną, oddział Trzcianków został zaatakowany przez grupę nieznanych napastników. Mimo, że byli oni niewielkiego wzrostu, o dziwnych skośnych oczach i żółtej cerze, znali się na wojennym rzemiośle. Rozgorzała walka na śmierć i życie. Spytko wyrwanym drzewkiem, niczym maczugą zmiatał znajdujących się przed nim napastników. Po ciężkiej bitwie nieprzyjaciel został pokonany i uciekł na pobliskie wzgórza. Na placu boju pozostało wielu zabitych i rannych. Zebrano upolowaną zdobycz i czym prędzej zarządzono odwrót. Nikt z uczestników tej wyprawy nie zauważył, że w ślad za nimi podążali zwiadowcy „skośnookich".

Gdy zima miała się ku końcowi i wszyscy mieszkańcy zapomnieli już o strasznej przygodzie, podczas jesiennych polowań, stało się nieszczęście. W nocy nastąpił atak tych samych okrutnych „żółtoskórych" wojowników. Mieszkańcy osady w Trzcinicy odparli ten atak, ale większość chat uległa spaleniu, a i wały obronne zostały w dużej mierze zniszczone.

Z pierwszym dniem wiosny Spytko zebrał Radę Osady, aby podjąć decyzję co czynić, gdyż obawiano się następnych napadów. Jednogłośnie uchwalono, że należy przenieść się w inne bezpieczne miejsce, lecz niezbyt odległe, ponieważ wszyscy pokochali te malownicze okolice. Wyruszono więc na wschód. Po niespełna jednodniowej wędrówce dotarli do miejsca, gdzie łączyły się ze sobą trzy rzeki. Podróżnicy byli urzeczeni tym widokiem, a zachodzące słońce tak odbijało się w krystalicznej, czystej wodzie, że aż oczy bolały. Żona Spytka, piękna Jasmina, widząc to cudowne zjawisko, zaproponowała, aby ich nową osadę, którą tu założą nazwać Jasną. Po latach jaj nazwę zmieniono na Jasło. I tak już zostało.

Opracował: Przemysław Myśliwiec
uczeń Katolickiego Liceum Ogólnokształcącego
w Jaśle

O Goleszu i rycerzu Zyndramie

Działo się to przed wieloma wiekami, tak dawno, że nie pamiętają tego najstarsi jasielscy kronikarze. W owych czasach średniowiecznych najbardziej znanym i poważanym rycerzem był Zyndram z Maszkowic. Przybył on na naszą ziemię, aby władać swoimi nowo zakupionymi włościami. Był on miecznikiem krakowskim, wójtem i starostą niegrodowym jasielskim. W służbie królowi Jagielle i wyprawach wojennych zasłużył się wielce i okrył się dużą chwałą. Jako, że był człowiekiem mądrym i zaradnym, szybko doprowadził swe włości do kwitnącego stanu.

Jednak jego największym utrapieniem stały się okoliczne bandy, które nie nauczyły się jeszcze posłuchu i ciągle rabowały jego posiadłości. W końcu nadarzyła się wspaniała okazja do pozbycia się uciążliwych zbójców. Po kolejnym napadzie, pełni buty i niepokorności wobec słynnego rycerza, nie maskując się wcale, podążyli do swojej kryjówki. Okoliczni chłopi donieśli Zyndramowi, gdzie można znaleźć zbójców i poprosili go o pomoc. Zyndram zignorował liczebność rozbójników, wierząc we własną siłę i wyszkolenie swoich ludzi. Ruszył na nich tylko ze swoją strażą przyboczną. Wkrótce przekonał się o swym błędzie. Początkowo rozbójnicy byli zaskoczeni, w końcu zaczęli jednak stawiać zaciekły opór, który zmusił Zyndrama i jego ludzi do ucieczki. Rycerz herbu "Słońce" postanowił wycofać się w kierunku wzgórza.

Było to wysokie, wapienne wzgórze z wyjątkowo niedostępnymi zboczami, szczelnie porośniętymi starymi, potężnymi drzewami. Ponadto szczyt miał wystarczającą powierzchnię, aby zbudować na nim gród.
"Gdyby tylko udało nam się dostać na szczyt" - pomyślał i natychmiast nakazał swoim ludziom, aby szukali dogodnego wejścia.
Ponieważ jednak wzniesienie było duże, nie czekając dłużej, zaczął sam szukać. Nie zauważył, iż po chwili oddalił się tak znacznie od towarzyszy, iż stracił ich z oczu. Gdy był już tak zrezygnowany, że chciał przerwać poszukiwania, usłyszał ciche kroki i szelest pobliskich krzewów. Gotowy na wszystko sięgnął po miecz. Nie chciał wzywać swoich wojów okrzykiem, gdyż mogłoby to wezwać więcej nieprzyjaciół, a poza tym, gdyby wrogów było niewielu, posądzono by go o tchórzostwo.

Nieoczekiwanie z krzewów wyszedł starzec o niecodziennym wyglądzie. Miał długą, śnieżnobiałą brodę do pasa i włosy tegoż samego koloru. Jego ubranie stanowił jedynie śnieżnobiały płaszcz i skórznie. Intrygujące były również jego zimne, stalowe oczy o przenikliwym spojrzeniu.
- Witam cię Zyndramie z Maszkowic, jestem Golesz - pan tego wzgórza. Twoje życie jest zagrożone, więc muszę ci pomóc, bo jeszcze będziesz bardzo potrzebny swojemu krajowi. I to już niedługo... - powiedział tajemniczo starzec.
Popatrzył jeszcze przez chwilę na osłupiałego Zyndrama i wskazał mu pobliski, stojący przy skalnej ścianie, krzak jałowca.

Nie wiedząc czemu, Zyndram odchylił go lekko... Jakież było jego zdziwienie, gdy dostrzegł za nim wąską ścieżkę.
- To niedorzeczne, dlaczego sam jej nie zauważyłem? - pomyślał. Gdy chciał podzielić się swoją uwagą ze starcem, jego już nie było. Rycerz odruchowo się przeżegnał. Nie bał się ludzi, ale lękał się zjaw i duchów. Jego dalsze rozważania zostały przerwane przez zaniepokojonych towarzyszy. Już po chwili wszyscy bezpiecznie dostali się na górę. Zbójcy odeszli,

a Zyndram docenił naturalną obronność tego miejsca i wybudował tam zamek. Nazwał go "Golesz" na pamiątkę swego spotkania z dziwnym starcem.

Niedługo później spełniły się słowa Golesza. Wybuchła wielka wojna z Zakonem Krzyżackim i stoczono słynną bitwę pod Grunwaldem, w której jedną z pierwszoplanowych ról odegrał pan jasielski, dowodząc doborowym rycerstwem małopolskim, a zameczek na wzgórzu "Golesz" przetrwał jeszcze kolejne stulecia. Został spalony podczas najazdu Rakoczego. Pozostały ruiny, po których obecnie widać tylko ślady.

Gdybyśmy nocą wędrowali po tym wzgórzu, może napotkalibyśmy tajemniczego starca w białym stroju. Wszak w każdej legendzie jest trochę prawdy...

Opracował: Jakub Hap
uczeń Szkoły Podstawowej Nr9
w Jaśle

O Bartłomieju z Jasła

Wydarzenia, o których będzie mowa miały miejsce przed przeszło sześciuset laty, ale jak legenda mówi, nasz bohater nie zapomina o swych rodzinnych stronach i podobno nieraz ciemną nocą spaceruje po ulicach Jasła.

A rozpoznać mistrza Bartłomieja nie jest zbyt trudno. Idzie zamyślony ubrany w brunatną, długą togę, taką jak dawniej nosili uczeni. Spaceruje, ogląda dzisiejsze Jasło, dziwuje się jak się rozbudowało, wypatruje swoich następców, bo przecież wiadomo, że ludzi mądrych ciągle potrzeba.

Kim jest ów mistrz Bartłomiej od czasu do czasu odwiedzający Jasło? Otóż urodził się tu gdzieś w połowie XIV wieku w rodzinie mieszczańskiej. Jako małego chłopca nie interesowały go gry i zabawy z rówieśnikami, za to chętnie słuchał opowieści dziadka, który uchodził za jednego z mądrzejszych ludzi w mieście. Bartłomiej chętnie też chodził na lekcje do jasielskiej szkółki przyparafialnej. Był najpilniejszym i zarazem najbardziej pracowitym jej uczniem.

Kiedy zmarli jego dziadkowie, a później rodzice, musiał szukać zajęcia. Został pomocnikiem aptekarza i pracował za ciepły kąt oraz trochę strawy. Przez cały czas marzył o tym aby móc się uczyć. Wiedział jednak, że nie jest to możliwe, nie było go na to stać. Aż tu pewnego dnia przez miasto przejeżdżał sławny rycerz i wójt jasielski Zyndram z Maszkowic. Jechał konno w towarzystwie swego małego synka. Nagle koń chłopca stanął

dęba i zrzucił ze swego grzbietu syna rycerza. Chłopiec uderzył głową o bruk i leżał jak nieżywy. Wszyscy oniemieli z przerażenia. Z tłumu wyskoczył jednak młody Bartłomiej i zaczął ratować chłopca. Za chwilę zjawił się medyk i orzekł, że chłopiec będzie żył dzięki szybkiej i fachowej pomocy młodego pomocnika aptekarza.

- *Jak mam ci się odwdzięczyć* – zapytał Bartłomieja wielki rycerz Zyndram z Maszkowic.

- *Nie trzeba panie, nie trzeba, chciałem tylko pomóc* – odrzekł młodzieniec.

- *Jestem ci bardzo wdzięczny i muszę spłacić dług za uratowanie syna.*

- *Jeśli to możliwe panie to pomóż mi dostać się na słynną Akademię w Pradze bo pragnę się w niej uczyć.*

- *Dobrze, mój chłopcze, będziesz się dalej kształcić!*

I tak dzięki pomocy słynnego rycerza utalentowany Bartłomiej z Jasła ukończył praską akademię, a później zasłynął jako jeden z odnowicieli naszej akademii krakowskiej. Był w niej jednym z najbardziej lubianych profesorów. Często też przybywał do rodzinnego Jasła i wyszukiwał najzdolniejszych chłopców, którym pomagał podczas studiów w Krakowie.

Podobno i dziś przechadza się czasami ciemną nocą ulicami Jasła, zagląda do okien szukając zdolnych dzieci, które mogą się kształcić dla swojego miasta i na chwałę ojczyzny.

Opracowali:
Aneta Bochenek
Monika Pięta
Jacek Zajdek
uczniowie I Liceum Ogólnokształcącego
w Jaśle

Legenda o Jaśle

Dawno temu w okolicy, gdzie dziś leży miasto Jasło, żył bogaty LIWOCZ z żoną WISŁOKĄ i córkami JASIOŁKĄ i ROPĄ. Liwocz większość czasu spędzał na biesiadowaniu z zamożnymi sąsiadami, a żonę swą i córki zmuszał do ciężkiej pracy. Gdy córki dorosły, szybko znalazł im kandydatów na mężów podobnych do niego samego.

Nadszedł dzień ślubu. Liwocz zaprosił na wesele najbogatszych mieszkańców wsi. Szczęśliwy gospodarz tańczył do upadłego, a żarty które potokami wylewały się z jego ust suto zakrapiał winem. Zabawa trwała w najlepsze, gdy nagle rozległo się głośne pukanie. Zdumiony gospodarz podążył do drzwi. Zdumienie jego stokrotnie wzrosło, gdy zobaczył stojącego w progu siwego, przygarbionego staruszka odzianego w nędzne, połatane łachmany.

- *Czego chcesz?* – zapytał niegrzecznie Liwocz, zły że przerwano mu zabawę.

- *Czy mógłbym dostać coś do zjedzenia?* – zapytał drżącym głosem staruszek.

Na te słowa twarz Liwocza rozjaśniła się w uśmiechu.

- *Oczywiście! Zapraszam serdecznie! Tuż obok w stajni wydałem właśnie WESELNY OBIAD moim zwierzętom. Myślę, że znajdzie się jeszcze trochę miejsca przy korycie.*

Izba zatrzęsła się od śmiechu. Tylko Wisłoka, Jasiołka i Ropa stały ze spuszczonymi głowami. Z ich oczu kapały łzy... Wtem stało się coś przerażającego, starzec wyprostował się nagle, a wokół niego rozbłysła oślepiająca jasność! Opadła siwa broda i... Oczom weselników ukazał się ANIOŁ! Wzniósł ręce ku niebu i nagle Liwocz zamienił się w ogromną górę, a cała chata wraz ze zgromadzonymi w niej biesiadnikami zapadła się pod ziemię. Tylko Wisłoka, Jasiołka i Ropa stały wciąż naprzeciw Anioła, który pozbierał ich łzy, a następnie skropił nimi ich głowy.

W tejże chwili matka z córkami zamieniły się w trzy rzeki, które później nazwano ich imionami. Natomiast osadę, która potem powstała nad ich wodami nazwano Jasło, czyli koryto, dla upamiętnienia tej smutnej historii.

Opracował: Tomasz Machowski
uczeń Gimnazjum Nr1
w Jaśle

O Cudownej Pani z Jasła

Skąd przybyła i jak długo tu jest nikt nie wiedział. Starzy ludzie opowiadali, że cudowna rzeźba Matki Bożej przybyła do Jasła dawno temu, z Węgier. Nieraz ludzie zastanawiali się, dlaczego właśnie taki zapomniany, ubogi zakątek kraju Matka Boska obrała sobie za miejsce. Widocznie taka była jej wola.

Maryja zamieszkała w kościółku braci karmelitów. Od razu figura zasłynęła cudami, a jej kult zataczał coraz szersze kręgi. Przychodzili do niej młodzi i starzy, chrześcijanie i poganie, zdrowi i chorzy, a ona patrzyła, słuchała i pomagała. Pomagała każdemu, kto Ją tylko prosił. Pielgrzymki przybywały do Jasła nawet z Węgier i Słowacji, gdyż i tam dotarły wieści o Cudownej Pani z Jasła.

Pewnego razu, a było to na wiosnę, straszna trwoga zawisła nad Jasłem. Po śnieżnej zimie, górskie strumyki zamieniły się w rwące potoki. W Jaśle – osadzie nad trzema rzekami, powódź była nieunikniona. Już od rana zwały błota i brudnej, mętnej wody przetaczały się po rzece. Gospodarstwa położone bliżej rzeki zostały zatopione. Ludzie w popłochu uciekali przed żywiołem. Sytuacja była dramatyczna. Pozostał im tylko jeden ratunek – Maryja!

Po błagalnym nabożeństwie cudowną figurę wyniesiono przed kościół i z uroczystą procesją, lud przeszedł ku rozszalałej rzece. Nagle od Matki Bożej poczęła bić taka jasność, że stojący

najbliżej ludzie chwilowo oślepli. Nikt nie wiedział, co się dzieje. Po chwili wszystko ustało, a woda poczęła opadać.

*** * ***

Król Kazimierz Jagiellończyk rościł pretensje do korony węgierskiej. W odwecie Węgrzy najechali na ziemie polskie. Najazd węgierski dotknął i Jasło. Ludzie w popłochu uciekali na zamek, zabierając ze sobą co cenniejsze rzeczy. Kto żyw uciekał i przygotowywał się do obrony.

Węgrzy natomiast, po ograbieniu osady, rozpoczęli oblężenie. Grad strzał co chwila zasypywał obrońców. Pomimo dzielnej postawy, głód, wyczerpanie i brak amunicji złamały opór obrońców. Straciwszy ostatnią nadzieję, wystawili na mury zamku cudowną figurę Matki Bożej. I stał się cud. Mimo, że najeźdźcy uderzyli ze zdwojoną siłą, to żadna ze strzał nawet nie musnęła cudownej figury, choć niektórzy Węgrzy specjalnie celowali w posąg. Widząc to, wódz najeźdźców zarządził odwrót. Matka Boża po raz kolejny uratowała Jasło.

Innym razem podczas procesji Bożego Ciała, przed niesioną na przedzie cudowną figurą sypały się z nieba białe pąki róż, tworzące żywy kobierzec dla Maryi.

Wiele cudów, uzdrowień i łask doznawał lud od Maryi. Jej wizerunek znany był niemal w całych Karpatach, a w każdej wiosce znajdował się kościółek, czy kapliczka poświęcona Matce Bożej z Jasła.

Pewnego dnia dzwony, jak oszalałe, biły w miasteczku. Płonął kościół i klasztor karmelitów. Strach i trwoga ogarnęły jaślan. Ludzie! Ratujcie Matkę Boską!!! Próbowali bracia karmelici ratować figurę, ale pożar wybuchł tak gwałtownie i z taką siłą, że nie sposób było wejść do kościoła, a jeśli komuś się to udało, to prędko wracał, ponieważ straszliwe gorąco i dym uniemożliwiały poruszanie się po kościele. Nikt nic nie mógł zrobić. Ludzie ze łzami w oczach patrzyli, jak ich kościół wraz z Matką Bożą dogorywa.

Następnego dnia ludzie przystąpili do oczyszczania pogorzeliska. Ledwie odrzucili kilka ciepłych jeszcze, osmalonych belek, a ze łzami wzruszenia upadli na twarz. Oto pod zgliszczami leżała cudowna figura Matki Bożej, ani trochę nie spalona, nawet nie osmalona dymem, jakby dopiero co wyszła spod dłuta rzeźbiarza. Wiele dni trwały uroczystości dziękczynne...

Po pożarze, który doszczętnie zniszczył kościół, Matkę Bożą przeniesiono do pobliskiego Tarnowca, gdzie, mimo wielu zawieruch i kłopotów, mimo zaborów i okupacji po dziś dzień błogosławi ludziom.

Opracowali:
Mateusz Majka
Wojciech Nachman
Aureliusz Kamiński
uczniowie Szkoły Podstawowej Nr1
w Jaśle

Zemsta Jasiel, czyli legenda o rzece Jasiołce

Było to tak dawno temu, że nawet najstarsi ludzie nie pamiętają. Jakieś półtora tysiąca lat temu w poszukiwaniu miejsca na osadę praojcowie wędrowali brzegiem rzeki Jasiel. Niewielkie gromady osiedlały się w bezpiecznych i obfitych w pokarm miejscach. Ludzie byli życzliwi, weseli, dobrze im się żyło. Mieli święte strumyki i źródła, w których się obmywali. Nadszedł jednak taki czas, że gdzieś z zachodu przyszła nowa wiara, a z nią księża, klasztory, kościoły... Jednak lud prosty był wierny starej wierze. Chcąc zachować swoje wierzenia, naród uciekał w lasy, na bagna, w góry.

Tuż nad samą rzeką, na wysokiej skale stała maleńka chatka, w której mieszkała wdowa Gościława. Po śmierci męża sama łowiła ryby i odnosiła do pobliskiego klasztoru. Żyła spokojnie, dzień wypełniając pracą. Jednak w sercu nosiła głęboki żal, bo nie miała potomstwa. Smutno było we wdowiej chacie, toteż Gościława chętnie przesiadywała nad rzeką – jedyną przyjaciółką. Jej wszystko opowiadała, jej zwierzała się z radości i smutków.

Przyszła zima. Pewnej nocy wdowę obudził trzask i łomot na rzece. Spiętrzona woda z hukiem występowała z brzegów.

Gościława nie bała się, bo jej dom był wysoko na skale. Rankiem woda uspokoiła się, a wdowa poszła na brzeg. Nagle usłyszała dziwne odgłosy. Przyspieszyła kroku i spojrzała w dół. Wśród gałęzi leżało coś oblepione mułem. Kobieta cofnęła się przestraszona, jednak gdy przyjrzała się uważniej dostrzegła, że jest to młoda dziewczyna. Gościława pomogła jej wydostać się na brzeg. Zabrała dziewczynę do domu, umyła i napoiła ziołami. Dziewczyna spała cały dzień. Nazajutrz, gdy się wreszcie obudziła, wdowa opowiedziała, jak wyciągnęła ją z wody. Wtedy dziewczyna przypomniała sobie wszystko i przedstawiła Gościławie swą historię.

Otóż mieszkała wysoko w górach u przybranych rodziców, którzy kiedyś znaleźli ją nad rzeką. Była wtedy niemowlęciem. Obcy ludzie wzięli ją za swoją i nadali imię Jasielka. Dobrze się jej żyło. Pomagała w gospodarstwie, łowiła ryby, a najchętniej przesiadywała nad rzeką. Jasielka wyrosła na piękną dziewczynę. Coraz częściej młodzi kawalerowie zaglądali do jej rodziców. Jasielce niespieszno było za mąż. Jednak rodzice coraz bardziej ją namawiali. Bogaty konkurent obiecał im za Jasielkę dużo ziemi. Gdy dziewczyna protestowała, zamknęli ją w komórce. Wtedy na pomoc przyszła jej rzeka, która tak wezbrała, że jej wody podmyły komórkę i zabrały dziewczynę. Tak Jasielka trafiła do Gościławy. Poprosiła, żeby wdowa pozwoliła jej tu zostać, zaś Gościława niezmiernie się ucieszyła, że rzeka podarowała jej córkę.

O wiele weselej żyło się teraz w domku na skale. Jasielka pomagała Gościławie łowić ryby i czasem odnosiła je do klasztoru. I tak mijały dni, tygodnie...

Pewnego dnia Gościława zaniemogła. Położyła się odpocząć, ale już się nie podniosła. Jasielka została sama w chatce na skale. Dwa razy w tygodniu zanosiła ryby do klasztoru, czasem zaglądała do wsi.

Pewnego razu jak zwykle zaniosła ryby zakonnikom. Tym razem jednak nie odbierał ich stary mnich, ale młody, brodaty zakonnik z czarnymi oczami jak u smoka. Jasielkę ogarnął strach

i jakieś niedobre przeczucie. Starała się unikać mnicha, ale to on zawsze odbierał ryby. Zaczął nawet wychodzić po dziewczynę na drogę wiodącą przez las. Raz nawet chciał złapać Jasielkę za rękę, ale ona na to nie pozwoliła. Usłyszała za sobą słowa:
- *Jeszcze cię dopadnę...!*
Od tej pory przestała chodzić do klasztoru. Częściej zaglądała do wsi i wkrótce zapomniała o mnichu.

Pewnego wieczoru siedziała Jasielka na pniu nad wodą, gdy usłyszała nawoływania od bagien. Zrozumiała, że ktoś tonie. Chwyciła drąg i rzuciła się na ratunek. Z trudem wyciągnęła z bagna młodego mężczyznę. Nieznajomy był u kresu sił. Jasielka zabrała go do chaty i ugościła jak mogła najlepiej. Mężczyzna zasnął wkrótce głębokim snem. W nocy obudziło dziewczynę walenie w drzwi. Zerwała się przerażona i otworzyła chatę. Ujrzała żołnierzy, którzy szukali zbiega. Już miała ujawnić prawdę, ale spojrzała na rzekę i coś kazało jej skłamać. Powiedziała, że widziała, jak jakiś mężczyzna jechał na bagna. Poprowadziła żołnierzy aż do miejsca, gdzie dalej nie dało się iść. Ujrzeli, że z bagien wystaje końskie siodło i uznali, że zbieg utonął. Zaniechali pościgu. Roztrzęsiona Jasielka wróciła do chaty. Nurtowały ją pytania, czy nie uratowała jakiegoś zbója? Niewinna twarz śpiącego chłopca rozwiewała jej obawy. Gdy zeszła do wsi, wnet dowiedziała się prawdy. Owszem, wojsko ścigało zbiega, który miał ponieść śmierć za to, że wyznawał wiarę przodków. Jasielka uspokoiła się. Rozumiała teraz, że uratowała od śmierci niewinnego człowieka. Gdy młodzieniec wreszcie się obudził, sam opowiedział dziewczynie swą historię. Wyjawił jej również swe imię – Jaś.

Młodzi zamieszkali razem w chatce wdowy. Chętnie odwiedzali ich ludzie, bo Jaś umiał leczyć i często pomagał chorym. Życie upływało im w szczęściu i miłości.
Pewnego dnia Jaś rąbał drewno, gdy usłyszał wołanie Jasielki. Rzucił się na pomoc, ale zobaczył tylko czarną postać, która zabrała dziewczynę na konia. Zbiegł do wsi, zawołał ludzi:
- *Ratujcie!*

Wszyscy się domyślili, że to mnich porwał Jasielkę, ruszyli więc ku klasztorowi. Musieli jednak zawrócić, bo rozpętała się straszliwa burza. Rzeka Jasiel tak wezbrała, że jej wody rozlały się w ogromne morze. Fale dotarły aż do klasztoru i uderzały o niego podmywając fundament. Deszcz i grad sypały się z nieba! Błyskawice rozrywały niebo!

O świcie wszystko się uspokoiło. Ludzie wylegli na skałę i zobaczyli, że klasztor stoczył się w fale rzeki, czy była w nim również Jasielka? Tego nikt nie wiedział. Ale wszyscy zrozumieli, że rzeka zemściła się okrutnie za swą ulubienicę.

Od tej pory Jaś nie mógł zaznać spokoju. Tak bardzo kochał Jasielkę, że życie bez niej nie miało sensu. Całymi dniami przesiadywał nad wodą i płakał. Pewnego dnia ludzie zobaczyli w tym miejscu głaz, który bardzo przypominał postać Jasia.

Historia tej niezwykłej i nieszczęśliwej miłości doszła aż do uszu hrabianki. Sama chciała zobaczyć głaz, więc kazała się zawieźć nad wodę. Usiadła na kamieniu, ale wnet zerwała się. Zgromadzony lud patrzył na dziedziczkę. Ona stała zasłuchana, zamyślona, aż powiedziała:

- Ludzie, ta historia to prawda. Ja słyszę, jak Jasio łka.

Lud pochwycił te słowa i od tej pory rzeka Jasiel nosi nazwę Jasiołka. Ale Jasiowego płakania nikt już więcej nie słyszał.

Słowniczek wyrazów dawnych, gwarowych i obcych

A

areszt – więzienie

B

bardzo dawno – bardzo dawno
bednarz – rzemieślnik wyrabiający beczki i wiadra
belzebub – zob. diabeł
benedyktyn – zakonnik reguły św. Benedykta; benedyktyni byli pierwszymi zakonnikami, którzy przybyli do Polski po przyjęciu przez nią chrześcijaństwa
białogłowa – kobieta, niewiasta, prządka - polska nazwa kobiety pochodząca od białego zwoju noszonego przez mężatki
bies – zob. diabeł
buta – tu: wyniosłość, duma
borgować – kredytować
bród – miejsce, gdzie rzeka jest płytka i można się przeprawić na drugi brzeg
bździny - gazy

C

całkom - całą
c. k. armia – skrót odnoszący się do: Cesarsko Królewskiej Armii
chaszcze – gęste krzaki, zarośla
chudoba – skromny dobytek, gospodarstwo
cosik – coś
czeluść – przepaść, wielki otwór, wgłębienie

D

diabeł – wysłannik piekieł, czart, bies, bis
Diabli dzielą się na kilka kategorii i każdy z nich ma inny sposób i obszar działania. Wszyscy łącznie z Mefistofelesem i Belzebubem podlegają Lucyperowi, który z mocy bożej jest przykuty w piekle do ściany grubym łańcuchem. Diabli mają przywilej przebywania na ziemi od zmroku do północy.
W polskiej baśni ludowej diabeł przybiera postać mężczyzny, ma rogi na głowie, zwisający język i ogon. Diabeł czyha na ludzką duszę, którą chce uprowadzić do piekła. Boi się święconej wody
do dzisiok – do dzisiaj
dukat – dawna złota lub srebrna moneta używana od 1284 roku w całej Europie (inaczej: gulden, floren)

dyrdy – biegiem
dziatki – dzieci
dziedzic – właściciel gruntów- posiadacz majątku po przodkach, ziemianin

F
faski – niewielkie, drewniane naczynie np. na masło
folwark – duże gospodarstwo rolne funkcjonujące dzięki darmowej pracy chłopa pańszczyźnianego, zob., pańszczyzna
fraszka – tu: drobiazg, drobnostka

G
Galicja – południowe obszary ziem polskich znajdujące się pod zaborem austriackim. Galicja była obszarem typowo rolniczym, zacofanym gospodarczo, przemysł rozwinął się tu dopiero pod koniec XIX w. Zob. *Słownik historii Polski*, Warszawa 1973
godom – mówię
gont – drewniana dachówka
gospoda – dawniej: dom, w którym podróżni zatrzymywali się na posiłek lub nocleg
grodzisko – miejsce na wzgórzu, gdzie można się było bronić przed napaścią nieprzyjaciela. Były to najczęściej drewniane domy otoczone naokoło ostrymi kołkami, rowem i wodą

H
hałastra – pospólstwo, banda, zgraja
herszt – przywódca bandy lub szajki
hordy (ordy) – obóz tatarski
hulanka – zabawa

I
jasyr – hist. niewola u Tatarów lub Turków. Uprowadzeni to: jeńcy, brańcy
Jadwiga – (1371-1399) królowa polska, żona Władysława Jagiełły. Osobisty majątek zapisała Akademii Krakowskiej, czym przyczyniła się do jej odnowienia
Jagiełło Władysław – (1351-1434) od 1386 r., król polski. Przeprowadził chrzest Litwy(1387), reaktywował Akademię Krakowską (1400) oraz zwyciężył wojska krzyżackie pod Grunwaldem (1410)
jem to wiency – im to więcej
jeno – tylko
Jan III Sobieski – (1629-1696) od 1674 r., król polski. Doskonały taktyk i organizator wojska wg nowoczesnych zasad. Podczas wojny z Turcją odniósł wspaniałe zwycięstwo pod Wiedniem. Był mecenasem kultury i sztuki (zbudował pałac w Wilanowie)

Jan Kazimierz Waza – (1609-1672) od 1648 r., król polski. Za jego panowania toczyły się liczne wojny m. in., z Ukrainą, Szwecją i Rosją

K

kierpce – obuwie z jednego kawałka skóry, ściągane rzemykiem; używane w Tatrach i na Podhalu

klątwa – złorzeczenie, przekleństwo

kompan – druh, kolega

komora – w chacie, niewielka izba bez okien służąca do przechowywania drobnych sprzętów, odzieży lub żywności

konszachty – poufalić się, utrzymywać z kimś towarzystwo

konwie – drewniane wiadra

Kozacy – grupa wolnej ludności na Ukrainie, od XV w., posiadająca własną organizację wojskową

krzceni – chrzczeni

L

lament – płacz połączony z narzekaniem

Lucyfer – zob. diabeł

legenda – fantastyczne opowiadanie o postaciach, wydarzeniach i miejscach historycznych lub o życiu świętych. Każda legenda posiada wiele elementów niezwykłych i cudownych. Legendy są zwykle oparte na ludowych wierzeniach i opowieściach przekazywanych ustnie z pokolenia na pokolenie

lepianka – ubogi dom chłopski

Ł

Łemkowie – jedna z pięciu grup etnograficznych na terenie Podkarpacia. Nazwa pochodzi od słowa „łem" czyli „tylko", zamieszkiwali oni tereny Beskidu Niskiego od Krynicy aż po rzeki Jasiołkę i Osławę, zachowali własną religię, zwyczaje i obrzędy zob. *Mniejszości narodowe na ziemi jasielskiej* (w:) W. Hap, *Ziemia Jasielska naszą Małą Ojczyzną*, Jasło1998

łuczywo – kawałek drewna, dawniej używany do oświetlenia

łupieskie – złodziejskie

M

Madziar – Węgier

mamuny – zmory

markotno – smutno

mazidło – maść, krem, tu: gęsta oleista ciecz

Mefistofeles – imię jednego z ważniejszych diabłów, zob. diabeł

miano – nazwa

mocarnych (rąk) – mocnych

N

na sztorc – w pozycji pionowej
nawał – najazd
nosidło – drewniany drąg służący do noszenia wiader (w niektórych regionach: koromysło)

O

obić – zbić
obrazoburca – ten, który niszczy i obraża święte obrazy
omamiony – okłamany
osęki – długie, drewniane drągi

P

parciana (torba) – zrobiona z partu, zgrzebna
pańszczyzna – od XV w. do pocz. XIX w. przymusowa praca chłopów na rzecz pana w zamian za uzyskaną ziemię
parobek – służący
paryje – rowy, doły
persona – ważna osoba
piechur – drab, hajduk
płótniaki – koszule z białego, lnianego płótna
przeto – a więc, zatem
przysiółek – osada przynależąca do wsi, mająca własną nazwę
putnie – drewniane wiadro rozszerzane ku górze

R

rabacja – bunt, chłopskie powstanie zbrojne
rozejm – pojednanie, zgoda
rozstaje – rozwidnienie drogi, rozdroże
rzezimieszek – łobuz, gagatek

S

sakiewka – dawniej: woreczek na pieniądze
skórznie – buty skórzane z wysokimi cholewkami
statua – posąg, figura
szydło – narzędzie szewskie służące do szycia np., skóry,

śklonkami chlol – szklankami pił
śrybla - srebra

T

Tatarzy – jeden z ludów mieszkających w Azji. W XIII w. Trzykrotnie napadali na Polskę. Słynęli z okrucieństwa. Palili wsie i miasta, a mieszkańców mordowali lub uprowadzali w niewolę, zob. jasyr
tęgo – tu: mocno

U

uroki – czary
uony – oni
uźrołł - zobaczył

W

warownia – budowla obronna
wieczerza – dawniej: kolacja
Wiślanie – plemię zamieszkałe w dorzeczu górnej Wisły. W X w., weszli do państwa Polan

Z

zaborcy – Austria, Prusy, Rosja; państwa biorące udział w trzech rozbiorach Polski (1772, 1793, 1795)
zarepetował – załadował
zbójcerzy – byli rycerze, którzy weszli na zbójecką ścieżkę
znachorka – kobieta zajmująca się leczeniem za pomocą naturalnych składników np. ziół, wykorzystując ludową wiedzę z pogranicza zabobonów, guseł i czarów

Ż

żołdacy – żołnierze pobierający żołd (pensję)

Bibliografia:

1. W. Kopaliński, Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych, Warszawa 1983.
2. A. Brückner, Słownik etymologiczny języka polskiego, Warszawa 1985.
3. Słownik historyczny, red. T. Łepkowski, Warszawa 1973.
4. S. Reczek, Podręczny słownik dawnej polszczyzny, Wrocław 1968.

SPIS TREŚCI

1. **Wiesław Hap**	- Wstęp	3
	- O Czarnym Rycerzu z Potakówki	5
	- O tajemniczym „Grodzisku" w Brzezówce	8
	- Dwie mogiły w Święcanach	11
	- Dąb z mieczami w Bieździedzy	14
	- O powstaniu kościoła w Żurowej	17
	- O początkach hafciarstwa w Harklowej	19
	- O wielkim dole w Załężu	21
	- Śpiący rycerze spod „Gródka"	24
	- O pustelniku i rycerzu spod „Golesza"	26
	- Legenda o Mruku i Magurze	30
	- Opowieść o Rysowanym Kamieniu	32
	- O Jakubie Szeli	35
	- Legendy Liwocza	38
	- Trzcinicki dzwon	41
	- Z legend kołaczyckich	44
	- O zbóju Osipie Sypko	47
	- Jak chłop przechytrzył diabła	51
	- O ucieczce królowej Jadwigi	54
	- Ze Śmiercią na plecach przez Jasiołkę	58
	- Prawda i legenda o cudownej figurze Matki Bożej z Tarnowca	62
	- O właścicielach „grodu żmii"	65
2. **Lidia Witkowska**	- Dół w Lesie Warzyckim	69
	- Opowieść warzycka	71
3. **Helena Pejko**	- Kurpiel	74
4. **Bogusław Mastej**	- O dębach Świętej Trójcy	76
	- Jak „Żurowa" została „Żurową"	79
	- Jantóś z Toczka	81
	- Diabli Kamień	83
5. **Agnieszka Adamik**	- Skąd wziął się miecz w ruinach zamku w Mrukowej	86
6. **Paulina Burek, Anna Myśliwiec, Dominika Sajdak**	- Waleczny Spytko ratuje bliskich	89
7. **Przemysław Myśliwiec**	- O Goleszu i rycerzu Zyndramie	91
8. **Jakub Hap**	- O Bartłomieju z Jasła	94
9. **Aneta Bochenek, Monika Pięta, Jacek Zajdek**	- Legenda o Jaśle	96
10. **Tomasz Machowski**	- O Cudownej Pani z Jasła	99
11. **Mateusz Majka, Wojciech Nachman, Aureliusz Kamiński**	- Zemsta Jasiel, czyli legenda o rzece Jasiołce	102
12. **Bożena Jurkowska**	- Słowniczek wyrazów dawnych, gwarowych i obcych	106